

M.B.
19

Łódź

Nr indeksu 30762 PL ISSN 0472-5042

Odgłosy

NR 1679 ROK XXXIII CZERWIEC 1990 R. CENA 1000 ZŁ

CZERWIEC 1976 r.
W RADOMIU str. 3,5,6,7

DLACZEGO
IWAN SIEROW
PRZEŻYŁ BERIE? str. 8,9

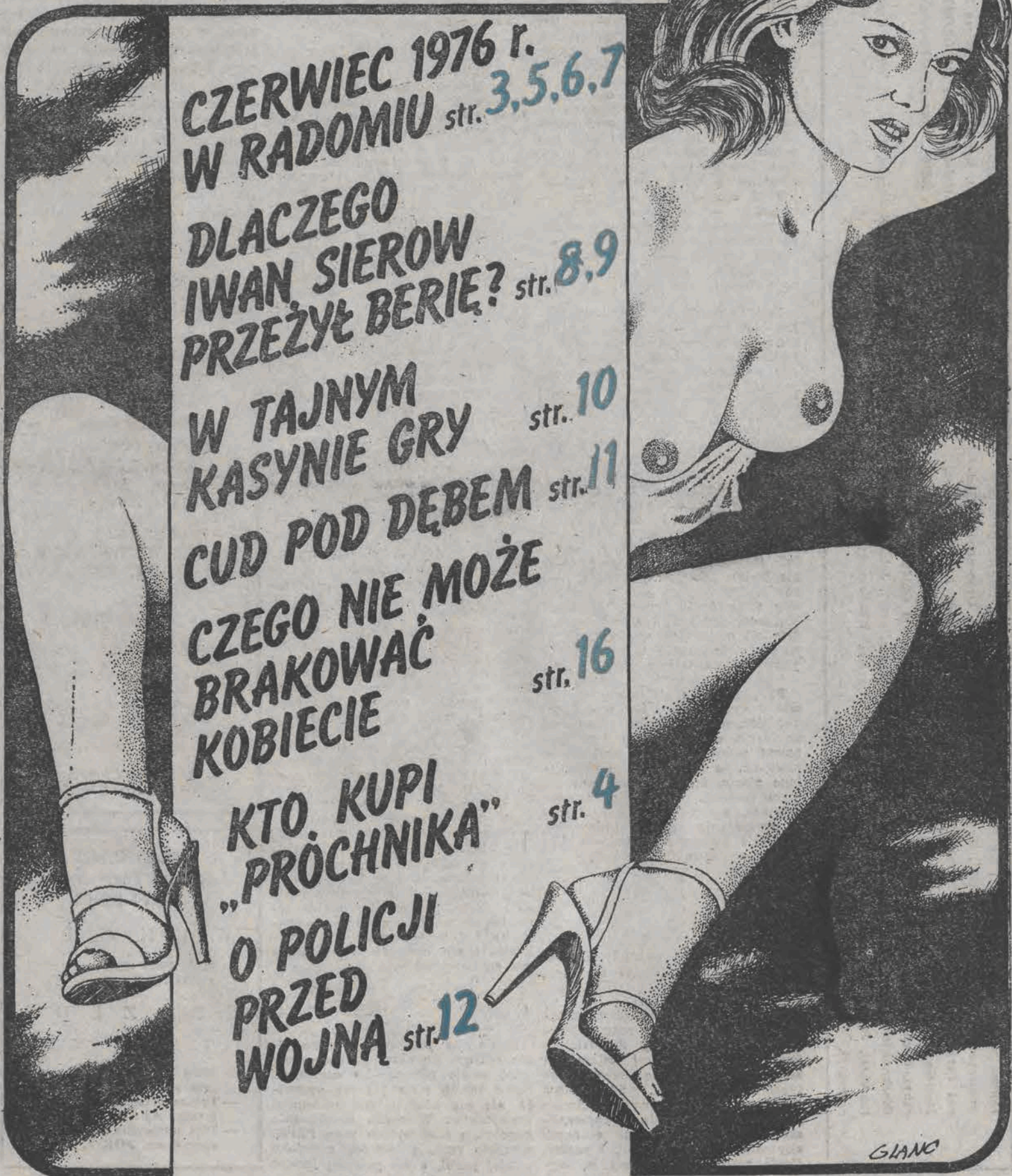
W TAJNYM
KASYNIE GRY str. 10

CUD POD DĘBEM str. 11

CZEGO NIE MOŻE
BRAKOWAĆ
KOBIECIE str. 16

KTO KUPI
„PROCHNIKA” str. 4

O POLICJI
PRZED
WOJNA str. 12



GLANC

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Przeszłość mamy jedną

1.

Przed miesiącem rozstaliśmy się z naszymi Czytelnikami i wydawcą, że na długo, a może i na zawsze. Pismo zostało zawieszono decyzją likwidatora Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego RSW „Prasa—Książka—Ruch”. Powodem był deficyt, jaki pismo przyniosło w 1990 roku. Poprzednio — przez ostatnie kilka lat — byliśmy dochodowi. Powód deficytu też był prosty. Koszty wydawania tygodnika liczone w cenach zbliżonych do światowych, ale pismo sprzedawaliśmy po cenie dalekiej od cen światowych. Skoro już mowa o cenach światowych to relacja między kosztami a ceną pisma wygląda jak 15 centów amerykańskich — to koszty — do niecałych 10 tychże centów — to cena sprzedaży. Ale podnieść tej ostatniej ceny nie można było, ludność miasta — i nie tylko — biednieje przecież z dnia na dzień.

Zmieniała się rzeczywistość Polski 1990 roku — musiało zmienić się i pismo. Inne stawały się wymagania i oczekiwania Czytelników. Ale na takie zmiany zabrakło już czasu. Ledwo je zaczęliśmy — przyszła decyzja zawieszenia. Może spóźniliśmy się ze zmianami? Nie wykluczam tego. Niemniej decyzja o zawieszeniu pisma była szokiem zarówno dla Czytelników, jak i zespołu „Odgłosów”.

Po ukazaniu się 21 numeru z datą 27 maja 1990 roku otrzymałem kilka listów i odbyłem kilka rozmów telefonicznych, w których korespondenci i rozmówcy wyrażali żal, że już w następną środę nie będzie „Odgłosów”. Jedna pani powiedziała wręcz: — Nie wyobrażam sobie środy bez „Odgłosów”. Moi korespondenci i rozmówcy namawiali mnie gorąco, abym poczynił wszelkie możliwe starania o powrót pisma na rynek.

To pięknie, że pismo ma przyjaciół i sympatyków, ale trzeba też wiedzieć, że w dziejach „Odgłosów” skończyła się pewna „epoka”. Jeśli nawet pismo znów pojawi się w kioskach, to będzie już to zupełnie inne pismo, mimo że pod tym samym tytułem. Takie są twarde wymagania rzeczywistości, takie są wymagania rynku prasowego. Ale dziś jeszcze nie wiadomo, kto będzie wydawcą „Odgłosów”.

2.

Oto „Odgłosy” pojawiły się w kioskach RUCH. Jak to się stało i co to oznacza?

Zgodnie z postanowieniami ustawy z 22 marca 1990 roku założyliśmy Dziennikarską Spółdzielnię Pracy „Odgłosy”, której celem jest nie tylko ewentualne wydawanie tygodnika „Odgłosy”. Spółdzielnia weszła w spółkę z wydawnictwem „Res Polona” Józefa Fraszczyńskiego oraz z kilkoma osobami, aby móc zapłacić za druk i papier. Część zespołu — wszyscy są wy-

mienieni w stopce tego numeru — zebrała ogłoszenia na znaczną sumę. Otrzymaliśmy zgodę likwidatora — doc. Marka Zirk-Sadowskiego na wydanie numeru czerwcowego i jeśli uda nam się zebrać pieniądze, to i numeru lipcowego.

Co będzie dalej?

Trudno to nam przewidzieć.

3.

Na łamach „Gazety Łódzkiej” — dodatek do „Gazety Wyborczej” — Jerzy Libich poskarżył się, iż brakuje mu „Odgłosów”. Spotkałem się też z opinią, że w Łodzi zabrakło pisma z prawdziwego zdarzenia. Ale przecież nie jest to tylko sprawa „Odgłosów”. Prasowy niebyt grozi wielu tytułom. Jesteśmy krajem, w którym przy każdym zakręcie historycznym jedne pisma znikają, inne się pojawiają. Można to uznać za naturalne, ale przez to na palcach jednej ręki można policzyć pisma, których żywot jest dłuższy od 50 lat. Na przykład „Przegląd Techniczny”. Jeśli inne tytuły powracają — to dzieje się to po wieloletniej przerwie. Na przykład „Przegląd Tygodniowy”. Ale są i inne przykłady. Oto Zarząd Główny SDP przyznał nagrodę im. Bolesława Prusa redaktorowi naczelnemu „Odry” — Ignacemu Rutkiewiczowi za redagowanie tego miesięcznika, któremu grozi likwidacja, gdyż nie ma pieniędzy na jego utrzymanie. Taki sam los grozi innym miesięcznikom uznawanym również za granicą — „Twórczości” czy „Dialogowi”.

RSW „Prasa—Książka—Ruch” jest likwidowana nie dlatego, że była przedsiębiorstwem deficytowym, wręcz przeciwnie — było to przedsiębiorstwo wysoce dochodowe, które wymagało jednak organizacyjnej sanacji, ale ze względów politycznych. Przyjęto jednak za podstawę tego działania fałszywą tezę, że wszystko, co powstało w Polsce przed 4 czerwca 1989 roku jest złe i trzeba to zburzyć. Komisja likwidacyjna — tak mi się wydaje — stanęła przed wieloma nowymi i zaskakującymi problemami, o których do tej pory nie miała pojęcia. Jest to zresztą nie tylko mój pogląd. W „Życiu Warszawy” prof. Jerzy W. Borejsza — przewodniczący Rady Nadzorczej „Czytelnika” — której to spółdzielni z prawdziwego zdarzenia RSW „Prasa—Książka—Ruch” zabrała bardzo dużo — taki wyraża pogląd: — „...sądzę, że komisja likwidacyjna będzie musiała pracować powoli, bo jest ogrom zadań do rozwikłania i nie wszystko będzie polegać na burzycielstwie”.

4.

Nowe siły polityczne, a szczególnie rodzące się nowe partie, muszą mieć swoje pisma. To oczywiste. Kilka takich pism już się pojawiło, ale nie zdobyły one szturmem czytelników. W moim przekonaniu popełniają błąd byłych pism PZPR: adresata szukają wśród członków swojej partii, a nie potrafią jeszcze

przemawiać z pozycji swojej partii do szerokich i bardzo różnych odbiorców. Przekonuje się przekonanych, zostawiając na boku nieprzekonanych. A przecież partie polityczne w systemie parlamentarnym muszą przede wszystkim walczyć o poparcie przyszłych wyborców. Do tego ma między innymi służyć prasa partyjna.

Zawsze starałem się bronić zasady utrzymania ciągłości historycznej, gdyż rozumiem, że wszelkie nagłe zwroty, odwroty, choć spełniają ambicje i oczekiwania poszczególnych ugrupowań politycznych, w rezultacie są szkodliwe dla prawidłowego rozwoju społeczeństwa. Podstawą rozwoju każdego narodu jest jego historia. Jeśli jej się nie szanuje — to działa się przeciw tej prawidłowości. A szacunek dla przeszłości — to troska o jej ciągłość. Warto — mając na myśli tę prawdę — zastanowić się jak zbudować nowe, nie burząc całkowicie starego? To trudne. Ale możliwe.

LUCJUSZ
WŁODKOWSKI

ZUPH „CEGAR”
98-100 Łask,
ul. Narutowicza 42,
tel. 23-62
konto PKO Łask
73613-7865-136

— PIECZĄTKI
DLA WSZYSTKICH
— SZYLDY, REKLAMY,
METKI

SUPEREKSPRES!!!

Punkty przyjęć zgłoszeń:

— Łódź, ul. Narutowicza 45,
tel. 31-98-92.
— Piotrków Tryb., Zamen-
hofska 3 m. 57, bl. 29,
tel. 48-11-89.
— Wieluń, 18 Stycznia 30.

U PRODUCENTA
ZAWSZE NAJTANIEJ!

PE IMPACT
Łódź, ul. Targowa 34,
tel. 74-89-61

Z A K U P I

— Fiata FSO 1500,
z 1988: 1989

S P R Z E D A

PO ATRAKCYJNYCH
CENACH:

— Skay obciowy LPK 601 —
imp. z CSRF
— Papier offsetowy, ksero
format A4
— Piec hartowniczy
opor.-kom. POK 71

Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Numer przygotowali, opracowali i zredagowali: Ryszard Badowski, Grzegorz Gabasiński (fotoreporter), Andrzej Gębarowski, Magdalena Grochowalska, Anna Gronczewska, Konrad Frejlich, Jacek Indelak, Marek Juskie wicz, Wiesława Kaszubska, Andrzej Kempa, Mariela Knaga (korekta), Beata Kostrzewska-Jamroz, Janusz Kozłowski (redaktor techniczny), Bogda Madej, Bogumił A. Makowski, Monika Matuszak, Karol Obidniak, Grażyna Olechnowicz, Ewa Ostrowska, Dariusz Romanowicz (redaktor graficzny), Jolanta Sawiuk (korekta), Janusz Szymański-Giano (redaktor graficzny), Lucjusz Włodkowski (redaktor naczelny).

Reportaż ten nigdy dotąd nie był publikowany w całości. Próba wydrukowania go wkrótce po napisaniu — w czerwcu 1981 roku — za-

kończyła się najpierw poszatkowaniem całego tekstu, a potem zdjęciem go przez cenzurę.

Dzisiaj publikujemy go w postaci

oryginalnej, bez jakichkolwiek zmian i skrótów.

— Byłem na stadionie „Radomiaka”. Na 1000-osobową załogę wężła kolejowego wydelegowano nas 25. Przykazano nam stawić się na dworcze kolejowym wczesnym popołudniem. Sekretarz KZ PZPR, Płoński, wręczył bileciki-przepustki. Na każdej pięć nazwisk. Pierwsze nazwisko: grupowy. On odpowiada za pozostałą czwórkę. Formujemy się piątkami i włączamy w milczący, zasepiony pochód, który dźwiga transparenty o treści ubliżającej nam wszystkim. Tłumy ciągną zewsząd. Na stadionie mieści się przecież 25 tysięcy. Autokarami zapchane drogi wylotowe. Setki autokarów, bo trzeba robić frekwencję ludźmi z zewnątrz, w ca-

tych, którzy zakłócają demokratyczny dialog partii z narodem”.

Słowa te nabierają jeszcze ostrzejszej wymowy, gdy na wiecu zabierają głos mówcy. Jako pierwszy przemawia prezydent miasta Tadeusz Karwiński, który nawiązując do płynącego z całej Polski potężnego głosu potępienia, gniewu i oburzenia na inicjatorów i uczestników wydarzeń, które miały miejsce w Radomiu 25 czerwca, stwierdza, iż jest to — niestety — ocena zasłużona. Wszyscy radomiacy moralnie odpowiadają za zaistniałe wydarzenia i ich skutki. Jest w Radomiu wielu pracowitych, uczciwych ludzi, którzy pragną spokojnie żyć i pracować. Tym bar-

W wyniku wprowadzenia do akcji większej liczby sił porządkowych, które cały czas nie bacząc na fizyczne zagrożenie działały z wyjątkową powściągliwością (podkr. w oryginale — przyp. J.L.) przywrócono około godziny 23.00 spokój i ład.

(...) W akcji przywracania spokoju i bezpieczeństwa rannych zostało 75 funkcjonariuszy porządkowych; w tym 8 ciężko rannych. Śmierć poniosło dwóch uczestników awantur, których przygnieśli przyczepą traktorową ich kompani.

25 czerwca i w następnym dniach organa porządkowe zatrzymały aktywnych uczestników zająć, podpalaczy, grabieżców i złodziei,

Radomski czerwiec 1976 roku — próba rekonstrukcji.

„Radomski salceson” zamiast partnerskich rozmów

JACEK INDELAK

W tym 200-tysięcznym Radomiu nie udało się zebrać tylu „zaufanych”. Stadion obstawiony. Mundurowi i cywile. Kordon gęsty, że myślisz się nie prześliznąć. I co rusz sprawdzają przepustki. Brutalnie, z pogardą, niechęcią. Napięcie cholerne, atmosfera przytłaczająca. A trwa to godzinami. Kierowanie ludzi, sprawdzanie przepustek, ustawianie na miejscach. „Goście” z zewnątrz — siedzą, a my — „radomskie warchoty” na płycie. Słońce grzeje, zaschnięte gardła, piekące oczy. Ludzie boją się ruszyć, nawet do toalety strach prosić. I ten zamęt w głowach, pogłębiający się w miarę kolejnych oskarżeń, które padają z mównicy. Nie wiem, jak długo wiec trwa. Cztery godziny?...

Opowiada doktor Zacheusz Pawlak, kierownik lekarskiej przychodni obwodowej PKP w Radomiu, radomianin od 1937 roku z przerwą na obóz koncentracyjny i medyczne studia. Wspomina wydarzenia sprzed pięciu lat. I denerwuje się, zasypywany pytaniami o wiec, w którym brał wtedy udział. Dlaczego poszedł?

— Nie wiem, doprawdy nie wiem. Przecież nie z ciekawości, domyślałem się, co tam będzie się działo. Wyznaczyli, poszedłem. Wiem tylko, że wszyscy mieliśmy poczucie potwornej, paraliżującej bezsilności. Nonsensowności jakichkolwiek odruchów protestu. Zniewolenie umysłu, paraliż woli, poddanie się psychicznemu terrorowi? Nie wiem.

Wiec na stadionie „Radomiaka” — starannie wyreżyserowany spektakl potępienia i samokrytyki — dał zarazem oficjalną, obowiązującą przez długie lata interpretację radomskiego czerwca.

Polska Agencja Prasowa relacjonowała: „Uczynimy wszystko, aby twórczym wysiłkiem, rzetelnym spełnieniem obywatelskich powinności odzyskać zaufanie, aby przywrócić dobre imię miastu. Ta refleksja dominowała na wiecu, który odbył się 30.06. w Radomiu — w kilka dni po piątkowych wydarzeniach, które zrodziły potężny głos oburzenia i gniewu, jaki rozległ się w całej Polsce dla inicjatorów i uczestników chuligańskich ekscesów, burd i awantur (...)

Na wypełnionym do ostatniego miejsca stadionie RKS „Radomiak” pod hasłami manifestującymi więź z partią i jedność z narodem, pod wezwaniami o surowe ukaranie winnych piątkowych zająć spotkali się robotnicy radomskich zakładów przemysłowych, ci, którzy wtedy, 25 czerwca nie przezwali produkcji, strzegli dobytego społecznego, maszyn i urzędzeń, którzy nie dali się wciągnąć w chuligańskie ekscesy.

(...) Moralny stosunek do wicherzycieli wyraża transparent z napisem „Piętnujemy

działania ostro i dogłębnie spojrzeć i ocenić wydarzenia z piątku ubiegłego tygodnia, kiedy to propozycje konsultacji projektu zmian polityki struktury cen oraz rekompensaty spotkały się z brutalną odpowiedzią, z zastosowaniem przemocy. Początek wydarzeńom dała załoga „Waltera”, której — jak przypomniał — płace wzrosły w okresie 5 miesięcy br. w stosunku do analogicznego okresu ub. roku o 20 proc. Podlegali ci, dla których godność Polaka, godność robotnika jest frazesem. Tak ocenić należy grupę pracowników z Wydziału P-6 zakładów metalowych, gdzie średnie płace wynoszą przecięź ponad 4 tys. zł. Oni to w ubiegły piątek porzucili pracę; wyszli na ulicę. Kolektyw zakładów nie potrafił opanować sytuacji i izolować w zakładzie tej grupy, która nie jest godna pracować w zakładach noszących imię legendarnego generała Waltera. Grupa ta — powiedział mówca — pociągnęła za sobą niektórych pracowników innych wydziałów, a na ulicy dołączyły się do niej elementy pasażerskie i chuligańskie, kryminalne i antysocjalistyczne. W tym „doborowym” towarzystwie siłą wdzierano się do innych zakładów w Radomiu. Terroryzowano załogi i wymuszano porzucenie pracy. Tak było w zakładach grzejnych, w „Radoskórze”, Radomskiej Wytwórni Telefonów, zakładach tytoniowych, ZNTK i innych. Krytycznie musimy — podkreślił — ocenić fakt, że kolektyw tych zakładów nie potrafił zdecydowanie i skutecznie przeciwstawić się napastnikom.

W dalszym ciągu swego wystąpienia prezydent Radomia omówił okoliczności piątkowych wydarzeń w mieście. Przypomniał, że próby podjęcia rozmów z oblegającymi gmach KW PZPR spotkały się z agresywną postawą. Rozwydrzone grupy wdarły się siłą do budynku. Rej wodziłi podpici chuligan, rozhisteryzowane kobiety. Wyraży gniewu i oburzenia — stwierdził mówca — kierować musimy do tych, którzy biernie przyglądali się tym ekscesom, co rozzuchwaliło napastników. Nastąpiło systematyczne niszczenie pomieszczeń, kradzieże i grabieże, podpalenie gmachu i stojących na ulicy i parkingu samochodów służbowych i prywatnych (...)

Obok elementów kryminalnych i chuligańskich, żądza rozboju i grabieży doprowadziła — powiedział — do spalenia 24 samochodów osobowych i ciężarowych, traktorów i autobusów, wozów strażackich, które sieniściu wosił pożar. Rozbito i rozgrabiono sklepy przy ul. 1 Maja i ul. Zeromskiego, usiłowano podpaść gmach Urzędu Wojewódzkiego i Miejskiego. atakowano Komendę Wojewódzka MO. Straty materialne wynoszą 77 mln zł. Z rozbitych sklepów zrabowano towary na sumę 30 mln zł. Można by za te kwoty wybudować wiele nowych mieszkań, żłobków, przedszkoli.

odzyskano część skradzionych łupów. Część zatrzymanych awanturników została już skazana orzeczeniami kolegiów do spraw wykroczeń i wyrokami sądów. Wszyscy poniosą surową, zasłużoną karę; nie ma dla nich miejsca w radomskiej społeczności i w radomskich zakładach pracy”.

Taka była oficjalna wykładnia radomskiego czerwca '76, której nb. do ostatniej chwili trzymał się Janusz Prokopiak. W styczniu 1981 roku — pełniąc jeszcze funkcję I sekretarza KW PZPR w Radomiu — podczas występu w programie telewizyjnym Tadeusza Samitowskiego podtrzymywał większość ocen, jakie zaszerwowano opinii publicznej z mównicy stadionu „Radomiaka”.

— Jestem żoną zawodowego wojskowego — mówi recepcjonistka z radomskiego motelu — sama też w czerwcowych zająciach nie brałam udziału, ale jak usłyszałam kłamstwa, jakie podtrzymywał towarzysz Prokopiak, miałam ochotę rozbić telewizor.

— Na wystąpienie Prokopiaka cały Radom zareagował oburzeniem — mówi doktor Zacheusz Pawlak. — Zbyt świeże są wspomnienia z tych dni, aby nie reagować na nie emocjonalnie. Ja sam aż nadto dobrze pamiętam dzień 25 czerwca 1976 roku.

— Rozpocząłem pracę w mojej przychodni normalnie, około godziny 9.00. Dzień z porozu normalny, ale wyczuwało się, że coś wisi w powietrzu. Wszyscy byliśmy pod wrażeniem sejmowego przemówienia Piotra Jaroszewicza z poprzedniego dnia, który przedstawił decyzję — tak, decyzję, bo przecież projekt zaakceptowany przez Sejm PRL stawał się decyzją — drastycznych podwyżek cen i niesprawiedliwego systemu płacowych rekompensat. Im kto mniej zarabiał, tym mniejsze dostawał wyrównanie. Już z samego rana dowiadujemy się, że coś się dzieje w „Walterze” i „Radoskórze”. Około godz. 10.00 telefon z podległej nam poradni lekarskiej w Zakładach Naprawczych Taboru Kolejowego: ludzie podjęli strajk i formują się w pochód. Telefony z miasta: manifestanci ze śpiewem i okrzykami zmierzają pod gmach komitetu. Ponieważ komitet mieści się nie opodal naszej przychodni, niektóre z pracowników, m.in. pielęgniarka Maryla Kubecka, chodzą tam na zmianę, aby zobaczyć, co się dzieje. Opowiadają, że ludzie zachowują się godnie i spokojnie! Około godziny 12.00 otrzymują zapewnienie od sekretarza Prokopiaka, że KC PZPR da im za jego pośrednictwem odpowiedź w sprawie podwyżki cen i zmiany płac. Prokopiak przed kamerami telewizyjnymi w styczniu 1981 roku kłamał, bo przecież to jego postawa, obawa przed tymi, w imieniu których podobno sprawował władzę — wszystko to spowodowało tłum, wywołało rozruchy.

Czy „Próchnik” będzie spółką akcyjną?

Pierwszy do prywatyzacji

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

Łódź staje się miastem najbardziej w Polsce dotkniętym recesją. Produkcja sprzedana łódzkiego przemysłu spada w pierwszym kwartale 1990 r. o 43 procent, a w „lekkim” — o ponad połowę! Oczywista jest wymowa społeczna tej zapaści. Ludzie, do niedawna wybrzydający na pracę, zaczęli jej poszukiwać. Rosną szeregi bezrobotnych. Na tym ponurym tle tym jaskrawiej przedstawia się sytuacja w kilku (niektórzy mówią — w kilkunastu) przedsiębiorstwach, które są w Łodzi oazami optymizmu. W przypadku ZPO „Próchnik” optymizm ten jest solidnie uzasadniony.

Dyrektor „Próchnika” Longin Barski odżegnuje się co prawda od posądzenia o wyjątkowość, lecz jeśli nawet zgodzić się z nim, że prowadzi po prostu normalne przedsiębiorstwo, nie sposób nie zauważyć, że przynajmniej pod jednym względem jest ono rzeczywiście wyjątkowe: znalazło się w elitarnym gronie pięciu zaledwie firm, wytypowanych przez rząd do prywatyzacji w pierwszej kolejności.

Możliwe więc, że za mniej więcej pół roku będzie się mówiło i pisało „Próchnik” SA, zaś część załogi uzyska status współwłaścicieli, stając się posiadaczami dwudziestu (albo i więcej) — to zależy od decyzji Sejmu — procent akcji przedsiębiorstwa. Większość akcji będzie zapewne należeć do Skarbu Państwa.

Dlaczego właśnie „Próchnik”?

Nie tak odległe to czasy, gdy firma, składająca się obecnie z pięciu podstawowych zakładów (dwóch w Łodzi, w Rawie, Poddębicach, mniejszy w Uniejowie i najnowszy — w Janikowie) krytykowana była przez „władze polityczne i administracyjne” za nadmierny — zdaniem tychże władz — eksport do krajów Zachodu, podczas gdy płaszczy z „Próchnika” przydałoby się więcej w sklepach krajowych. Zmieniło się to nastawienie dopiero w stanie wojennym, kiedy okazało się, że „Próchnik” — spełniając prośbę władz — jest w stanie ofiarować 50 tys. dolarów na wyposażenie pracowni komputerowej i zakup leków. Dzisiaj nikt już pretensji o eksport nie ma.

„Próchnik” nie jest wolny od wstrząsów.

W styczniu i lutym 1990 r., gdy lawinowo zaczęły narastać ceny, przedsiębiorstwo znajdowało się właśnie w okresie produkcji na kraj, który to okres zaczyna się w listopadzie a kończy zazwyczaj w kwietniu. A tu nagle stało się jasne, że nie będzie zbytu: ludzie

rezygnują z poważniejszych zakupów, towary zalegają na półkach sklepowych, handel rezygnuje z zamówień, wypełniają się fabryczne magazyny, nie ma sensu żyć tego, co nie znajduje nabywców. W „Próchniku” funkcjonują tzw. zespoły majsterskie, grupujące od 40 do 100 pracowników, zajmujące się wytwarzaniem określonego typu asortymentu. Nie było rady — część z tych zespołów trzeba było wysłać na przymusowy urlop. Od jednego do trzech tygodni, żeby ratować się przed miliardowymi stratami.

To „uderzenie” trwało przez 6 tygodni. Ale „Próchnik” nie dał się pograżyć.

Po pierwsze — rozpoczęto sprzedaż z pominięciem handlu, w formie kiermaszów, organizowanych gdzie tylko można: w ministerstwie, po fabrykach, na wsi w świetlicach — i towar zaczął schodzić!

Po drugie — szybko przeorganizowano produkcję, nastawiając się na najbardziej „chodliwy” towar, przy tym stosunkowo tani, bo szyć z ubiegłorocznego surowca, kupionego po starej cenie.

Po trzecie — pomimo zmniejszonej sprzedaży, zdołano spłacić kredyt, odprowadzając zaoszczędzone wcześniej dewizy. Dzięki temu udział środków własnych w obrocie wzrósł do 80 procent!

Po czwarte — udało się zwiększyć eksport, i to w miesiącach, kiedy zwykle nie wysyłano zbyt wiele za granicę. Biorąc pod uwagę pierwsze 4 miesiące 1990 roku, eksport wzrósł ilościowo o 8 procent (w porównaniu z tym samym okresem roku ubiegłego), zaś pod względem wartości — o ponad 23 procent.

Zmniejszył się eksport do Związku Radzieckiego, chociaż w I kwartale 1989 roku był on znaczny. Wysyłano na Wschód, dopóki były dopłaty do tego eksportu; gdy je zniesiono, trzeba było uciec na rynek krajowy. Szkoda jednak wielkiego odbiorcy, dobrze więc, że zdołano ostatnio wynegocjować sprzedaż do ZSRR około 120 tys. płaszczy dodatkowo — według nowych zasad, tzn. za dolary. Ceny w dolarach są dobre, ale dolar w rozliczeniach z ZSRR ustalony został przez rząd na 7,5 tys. zł — o 2 tys. zł taniej niż w rozliczeniach z Zachodem. „Próchnik” czeka więc na nowe korzystniejsze warunki płatności. Jeśli ich nie będzie — wielomiliardowy interes może się okazać niekorzystny.

Na około 900 tys. sztuk płaszczy z tegorocznej produkcji planuje się wysłanie do krajów Zachodu 500 tys. sztuk, zaś do ZSRR — 100 tys. sztuk (plus ewentualnie dodatkowo 120 tys.). Reszta trafi do sklepów w Polsce.

Dyrektor L. Barski przewiduje, że w 1990 roku uda się „podciągnąć” eksport do prawie 70 procent całości produkcji. Woląby, aby był on jeszcze o 10 procent wyższy. Taki „ideal” będzie chciał osiągnąć w przyszłym roku.

10 lat temu we wszystkich zakładach przedsiębiorstwa zatrudnionych było o 1000 osób więcej niż obecnie. W ciągu następnych 8-9 lat ludzie odchodzili przeważnie do sektora prywatnego, kuszeni wyższymi zarobkami. Pomimo to, zdołano utrzymać eksport, doczekawszy się wreszcie w początkach 1990 roku czasów, kiedy nie tylko nikt nie chce odejść, ale przyszliby chętnie nowi, gdyby tylko było dla nich miejsce. Średnia płaca w czterech podstawowych zakładach wyniosła w kwietniu około 700 tys. zł — nie licząc premii.

Dlaczego „Próchnik” czuje się silny?

Bo ma przed oczami korzystne wskaźniki, zwłaszcza dotyczące eksportu. Ale te wskaźniki nie powiedzą, jaki za nimi kryje się ogrom wieloletniej pracy, nie powiedzą nic o tradycji dobrej roboty w „Próchniku”, o tym, że tutaj eksport był oczkiem w głowie nie tylko w dyrekcji, ale i u załogi. Wskaźniki nie powiedzą o tym wreszcie, że przedsiębiorstwo ma już od dawna opanowane najważniejsze elementy doskonałej produkcji: bogactwo kolorów, wzorów i asortymentów.

Dyrektor L. Barski ujmuje to w sposób lapidarny:

— Od dawna współpracujemy z kapitalistami. Nauczyliśmy się praw zachodniego rynku. My wiemy, co znaczy stać w kolejkę u wymagających kupców, tak, jak nasi rodzimi producenci muszą się teraz nauczyć stać w kolejkę u krajowych odbiorców. Słowem: posiadamy wiedzę i doświadczenie, jakie są dzisiaj w Polsce potrzebne.

Zgłoszenie chęci prywatyzacji jest dla dyrektora „Próchnika” nakazem czasów, które nadchodzą. Uważa, że kontrahenci z Zachodu wolą rozmawiać z firmą, która ma określonych właścicieli. O dziwo, dyrektor nie widzi obecnie w prywatyzacji tylko interesu ekonomicznego. Jedną korzyść jest niewątpliwą: ma nadzieję, że pracownicy, którzy staną się jednocześnie udziałowcami, poczują się silniej związani z interesem firmy, zaś rada nadzorcza, zastąpi radę pracowniczą. Ma także ukrytą nadzieję, że gdy już „Próchnik” SA stanie się rzeczywistością, wówczas główny (być może przejściowy) właściciel, czyli Skarb Państwa, zrezygnuje z dywidendy, przeznaczając te sumy na dalszy rozwój firmy. Tak przynajmniej — twierdzi dyrektor — powinien postąpić właściciel prywatny...

W „Próchniku” powołano zespół, który w ciągu 3-4 miesięcy opracuje szczegółowe zasady prywatyzacji. Potem, w zależności od decyzji Sejmu, pewne sprawy zostaną uściślone, i w ciągu następnych 2-3 miesięcy może dojść do konkretnych przekształceń własnościowych.

JURAL
JOSEF JURASZCZYK
OKAZJA
Przedsiębiorstwo Zagraniczne
„JURAL”
w Rzgowie k/Łodzi; ul Leśna 5 (przy trasie Łódź-Piotrków Tryb.) tel. 14-10-16 oferuje do sprzedaży detalicznej i hurtowej w sklepie firmowym i przez Dział Zbytu nasze wyroby w bogatym wyborze asortymentowym i kolorystycznym:

- Torebki damskie ze skóry
- Wyroby kaletnicze — torby turystyczne, plecaki szkolne i na stelażach oraz same stelaże
- Namioty komfortowe 4-osobowe z dwiema oddzielnymi sypialniami i dużym przedsiönkiem.
- Konfekcję damską — bluzki, spódnice i garsonki szyte w/g wzorów zachodnich.
- Piżamy męskie
- Działiny interlockowe bawełniane, bawełnopodobne oraz biustorowe surowe i wykończone — barwione i zadrukowane.
- Działiny stilonowe powlekane i do powlekania.
- Działiny welurowe.
- Przewody elektryczne płaskie — Ydy
- Odpady skóry kaletniczej

**Ceny konkurencyjne
ZAPRASZAMY!**

Każdy kto widział ten — ponoć agresywny — tłum, czekający cierpliwie pod gmachem komitetu, nie po tej stronie widzi bezpośrednich sprawców zająć. Między 14 a 15 delegacja manifestantów weszła ponownie do budynku, by uzyskać od Prokopiaka odpowiedź. Nie ma odpowiedzi, nie ma też sekretarza. Uciekł. Ludzie, w trakcie przeszukiwania gmachu natknęli się w komitetowym bufecie na stopy mięsa i wędlin. Wywlekli je przed gmach. Chcieli pokazać, jak się żyje ich reprezentantom. Po to też wyciągnęli z jednego z gabinetów okazywały duwan, który został uczepiony do traktora i wleczony ulicami. A wtedy ktoś podpalił komitet.

W tym mniej więcej czasie wzywają mnie do chorego. U zbiegu ul. 1 Maja i Słowackiego widzę tłumy, ciągnące w stronę komitetu. Skracam w Słowackiego: z daleka widzę dwa samochody, blokujące ulicę. Zatrzymują mnie ludzie z biało-czerwonymi opaskami. Po krótkich wyjaśnieniach — przepuszczają mój samochód. W godzinę czy

skich. Pamięta pan te wieści w całym kraju?

Tak, pamiętam. Olsztyn, Bydgoszcz, Warszawa, Opole, Kielce, Białystok, a i Łódź wiecowały przeciwko Radomowi już następnego dnia, 26 czerwca.

„W atmosferze gorącego poparcia — czytamy w relacji „Głosu Robotniczego” — dla polityki partii i rządu przebiegał w sobotę wiec zwołany w Łodzi na pl. Dąbrowskiego w odpowiedzi na pożalowania godne wydarzenia w Radomiu i Ursusie (...) Wiec otworzyło wystąpienie I sekretarza KŁ PZPR — Bolesława Koperskiego (...) Manifestanci w czasie wystąpienia tow. Koperskiego wznosili liczne okrzyki, reagując na słowa mówcy. „Mamy zaufanie do partii — chcemy spokojnie pracować!”, „Młodzież z partią!”, „Precz z chuligaństwem i warcholami!” — głosili uczestnicy wiecu. Kilkakrotnie przerwały wystąpienie tow. Koperskiego burliwe owacje”.

A oto fragmenty wystąpień:

— Potępiamy każdego, kto spokój ten będzie chciał nam zakłócić — mówiła robotnica. — Chcemy spokojnie żyć i pracować!

— Z gorącą przyjąłem wieści o wydarzeniach w Radomiu i Ursusie. Jest to rzucanie kłód pod nogi naszej partii i rządu!

„Radomski salceson” zamiast partnerskich rozmów

półtorę później, gdy wracam do przychodni, nie udaje mi się tedy przejechać na skrzyżowaniu płoną dwa samochody strażackie. Kiedy zapalił się komitet, zatrzymano strażaków. Spuszczono powietrze z kół i podpalamo wozy. Obok dworca też przejechać nie można: barykada z samochodów, płonący kioski „Ruchu”. Wracam do przychodni okrężną drogą. Kierowcy sanitarek opowiadają, że wszystkie drogi wylotowe z Radomia — na Warszawę, na Lublin, Wierzbicę, na Szydłowice — zabarykadowane samochodami. Kiedy drugi raz wyjeżdżam do chorego, widzę na wiadukcie, prowadzącym w stronę Głiniicy, ludzi montujących w poprzek drogi długą stalową linę. W tym samym zresztą czasie milicja była już w mieście. Weszli czwórkami — palki, miotacze gazu, maski przeciwgazowe, tarcze. Weszli Lubelską, od strony przejazdu, szli ul. Zeromskiego do ul. 1 Maja. Po pracy, pod wieczór pojechałem przez opustoszałe miasto na zebranie ZBoWiD, na ul. Zeromskiego. Na tej właśnie ulicy widziałem grupę chuliganów, rabujących sklep muzyczny. Ulica była pusta, ani śladu milicjanta. Na moich też oczach kilku wyrostków wlatowało się do sklepu monopolowego przy ul. Kusocińskiego. Dwóch czy trzech, po rozbiciu szyby weszło do środka i wynosiło wódkę. Nie jest prawdą, że wśród demonstrantów byli rabusie. Tłum szedł ul. Zeromskiego w kierunku ul. Wałowej. Nikt nie kradł, nikt nie rabował. Hiemy przyszli dopiero w długi czas po przejściu pochodu...

Dzień 25 czerwca 1976 roku głęboko zapadł w pamięć mieszkańców Radomia.

Pamięć ludzka jest jednak zawodna, zwłaszcza gdy wspomnienia skażone są emocjami. Odtworzyć więc przebieg wydarzeń tego dnia nie jest łatwo: ten Czerwiec nie doczekał się jeszcze syntetycznych, kompetentnych opracowań.

„Oficjalne” relacje z 1976 roku, a i ze stycznia 1981 roku — znamy. Co na ten temat ma do powiedzenia „druga strona”, reprezentowana dziś przez MKZ NSZZ „Solidarność” Ziemi Radomskiej?

Cały MKZ uczestniczy właśnie w zebraniu wyborczym w Domu Kultury „Waltera”. Trzeci to już dzień obrad, które jak dotąd mierne przyniosły wyniki. Działacze MKZ zaprzęgnięci do reszty ostra, bezpardonową walką wyborczą. Nic dziwnego zatem, że dziennikarza z „oficjalnej” prasy próbują zbyć byle czym. Słyszę nawet od jednego z nich sarkastyczne:

— Teraz wszyscy zrobiliście się tacy odważni i dociekliwi, a pięć lat temu prasa z całego kraju obrzuciła nas błotem, wyzywała od chuliganów i warcholów radom-

— twierdził profesor z Akademii Medycznej. — Nie pozwolimy aby wrogi naszemu państwu i narodowi elementy zniweczyły nasz wspólny sukces!

— Dlaczego w naszym imieniu, robotników, którzy codzienną, rzetelną i wydajną pracą budują Polskę, występują elementy nie mające z nami nic wspólnego: chuligani, łobuzy i warcholy? — pytała inna robotnica. — Do tej pory nie zawiadliśmy się na kierownictwie naszej partii i rządu!

— Nie dopuścimy do tego, aby nieliczne i nieodpowiedzialne, ale hataśliwe jednostki przeszkadzały pracować uczciwym ludziom — zapewniał działacz młodzieżowy. — Młodzież zawsze z partią i z wami, towarzyszu Gierku!

— Zbierzemy dużo chleba w tym roku i damy ten chleb do podziatu towarzyszowi Gierkowi — obiecywał rolnik. — A draniom i warcholom, podrywającym autorytet naszemu krajowi, powiemy nie!

Nielatwo rozmawia się dziś z tymi, których oficjalna propaganda okrzyknęła wówczas warcholami, ale udaje mi się w końcu umówić na spotkanie w MKZ, nade wszystko owocna jest rozmowa ze Staszkiem Małeckim, który zaprasza w konsekwencji na cały dzień do swego „Waltera”.

Tam mam możliwość zarejestrowania relacji Zdzisława Michalskiego, 36-letniego dziś robotnika, który wtedy, 25 czerwca 1976 roku pracował w słynnym Wydziale P-6, gdzie uznany został za jednego z przywódców strajku i manifestacji.

— Zaczęło się już o godzinie 7 rano — wspomina — kiedy nasz wydział, zamiast przystąpić do pracy, dyskutował na temat podwyżki cen. Ludzie byli zdenerwowani. W końcu wyszliśmy z hali, powoli przyłączyli się do nas pracownicy z innych wydziałów. Wyszedł dyrektor. Zaczął nas przekonywać, że nie mamy racji. Wywiązała się ostra dyskusja, ale jego nikt nie chciał słuchać, bo ciągle tylko obiecywał, oszukiwał po prostu. I zdenerwował się dyrektor. „Jak tak — powiedział — to proszę bardzo, możecie wyjść na ulicę!”. I pierwszy podszedł do bramy. Nie wiem dokładnie, kto otworzył bramę. W każdym razie była już otwarta, kiedyśmy wyszli, dyrektora cofnęła się do tyłu. Z początku parę osób, ale poczekaliśmy chwilę i bardzo dużo załogi poszło za nami. Ruszyliśmy dużą grupą pod „Blaszankę” (Zakłady Sprzętu Grzejnego — przyp. J.I.). Powiedzieliśmy ludziom, że idziemy pod Komitet Wojewódzki PZPR na rozmowę z I sekretarzem Prokopiakiem. Jak ludzie usłyszeli, zatrzymali maszyny i przyłączyli się do nas. Potem już razem cofneliśmy się spod „Blaszanki” i ruszyliśmy w stronę dworca kolejowego. Z tunelu wyszliśmy, idąc spokojnie, śpiewaliśmy „Jeszcze Polska” i „Międzynarodówkę”. Udaliliśmy się do „Radoskóru”.

Grzecznie żęśmy poinformowali kobiety, po co i gdzie idziemy. I dołączyli się. Po paru minutach ruszyliśmy razem do Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego. I znów — tłumaczmy, że idziemy pod komitet. W tym zakładzie mało ludzi pracuje, ale też większość poszła z nami. Ja już właściwie nie szedłem, ale jechałem na pierwszym wózku akumulatorowym z zatknietym biało-czerwonym sztandarem. Potem była kolumna dwunastu wózków, a z nami masa, masa ludzi, sznur ludzi. Przyłączało się coraz więcej.

Dojeżdżamy do rogu 1 Maja i Słowackiego, a — ku mojemu zdziwieniu — od strony 22 Lipca nadciąga druga kolumna. To byli ludzie tak z naszego zakładu, jak i z innych przedsiębiorstw. Połączyliśmy się, a potem razem pod Dom Partii. Wózki zatrzymaliśmy pod budynkiem, a ludzie otoczyli nie cały gmach, lecz tylko główne wejście. Dochodzimy do drzwi. Nie wiem, czy był tam strażnik czy portier. Pukamy, a on pyta, czego chcemy. To my, że chcemy rozmawiać z towarzyszem Prokopiakiem, a on, że go nie ma i że nas nie wpuści. Prosimy więc jeszcze raz, żeby nas wpuścił, że nie chcemy używać siły. On podszedł do drzwi, a kiedy je odrobinę uchylił, czyjaś noga znalazła się

między drzwiami a futryną. Weszliśmy. W tym czasie schodził po schodach nie pierwszy sekretarz, tylko inny człowiek, też partyjny. Nie przedstawił się, tylko powiedział, że prowadzi sprawy młodzieżowe. Zapytał nas, czego chcemy, a ja grzecznie, że chcielibyśmy rozmawiać z pierwszym sekretarzem Prokopiakiem. Powiedział, że pierwszy sekretarz zaraz do nas wyjdzie. Cofneliśmy się więc i wyszliśmy przed Dom Partii. Czekamy długo, bardzo długo, a tu towarzysz sekretarz nie wychodzi. Jak tak, to my ponownie wchodzimy. Wreszcie idzie, schodzi po schodach do nas, na dół i pyta: „Skąd wy jesteście?” Ja mówię: „My jesteście z radomskich fabryk!”. „A co wy żęście chcecie?”. „Chcielibyśmy porozmawiać z panem na temat tych cen, co były ogłoszone w radiu i prasie”. A on mówi tak: „Ja z taką szarafią nie będę mówił!”.

Przekonaliśmy go potem i wyprowadziliśmy go ludzi przed Dom Partii. W tym czasie ktoś podsunął dwa krzeselka. Sekretarz wszedł na nie. Ja dałem znak ręką, żeby ludzie się uciszyli i powiedziałem, że jest to Prokopiak, żeby nam teraz powiedział do kładnie, jaka jest jego opinia na temat tych cen. Więc Prokopiak mówił, a potem na oczach ludzi umówiłem się z nim o osobie, że on będzie dzwonił do KC, a potem da nam odpowiedź. I powiedziałem: „Towarzyszu sekretarzu, my tu jeszcze wrócimy, na razie nie żęgnamy się, bo się wkrótce zobaczymy”. I podałem mu rękę, sam nie wiem, jak to się stało: nagle znalazłem się w górze, na ludzkich rękach. Ludzie mnie ponieśli na rękach i znalazłem się na swoim wózku akumulatorowym.

Udaliliśmy się pod Radomską Wytwórnę Telefonów. Brama była otwarta. Powiedzieliśmy ludziom, że jesteśmy umówieni z Prokopiakiem na rozmowę. I ludzie zdecydowali się do nas dołączyć. Prawie cała załoga wyszła z nami, a kto nie wyszedł, mało było takich, został wygwizdany właśnie przez swoją załogę. Idziemy z fabryki telefonów ulicą Struga w dół. Kiedy przechodziliśmy przez skrzyżowanie jeden funkcjonariusz MO kierował ruchem. Samochody wstrzymał, a my szliśmy dalej, dochodząc do kaplicy. Nawet księża zakonnicy, dowiedziawszy się, że jest pochód strajkowy, przyłączyli się do nas, bo oni też są za sprawiedliwością. Idąc przez ul. Struga, doszliśmy do ul. Wernera, ludzie schodzili z chodników i przyłączyli się do nas. Doszliśmy w końcu do Zakładów Mieszanych od strony targowiska. Zamknięte na glucho, nie możemy wejść. Kolumna się zatrzymała. Pytają mnie, jak tu wejść, a ja mówię: „Słuchajcie, to trzeba jakoś ugodowo załatwić!”. Poszło parę osób na portiernię.

6

ale nic, jakby grochem o ścianę. Wtedy jeden z moich kolegów, Wiata Stanisław, wsiadł na wózek elektryczny, skądś zdobyli tańcuch i przyczepili do bramy, ruszył tym wózkiem i wyrwał bramę z zawiasów. I wtedy wszyscy weszli. Weszliśmy do rzeźni. No, tam, to właściwie dobrze było. Załoga zorientowała się już, w czym rzecz. Ci ludzie, co pracowali na udoju, połamali noże, powyrzucali pilniki, jak się dowiedzieli całej prawdy. Okazało się na naszych oczach, że całe mięso, cały wyrób wędliniarski był schowany w podziemiach, zamknięty dokładnie i miał iść na eksport. Szynki w opakowaniach po trzy kilogramy, balerony — wszystko było pochowane. Kątem oka zobaczyłem, jak ludzie zerwali sztabę i otworzyli wjazd do chłodni. I tam wszystko było pochowane, a przecież wtedy nie było nic w sklepach. Pracownicy mówili: „Patrzcie, panowie, co się tu wyrabia, co robi partia, rząd, w ogóle co robią władze, my robimy to wszystko, a oni to marnują, wysyłają stąd, a ludzie dniami i nocami stoją w ko-

szustwa. Tak, i wtedy nadjeżdżać i nadchodzić zaczęła milicja od Świętej Trójcy... Przyjechała milicja, to była głównie z tych szkółek i specjalnych grup szturmowych. Specjalnie przygotowana do zdławienia narodu — pałą i gazem. I te tarcze, te maski gazowe. Ludzie nie mieli przecież masek, płakali. Zaczęli rzucać kamieniami, czym popadnie. Nerwy nie wytrzymały... Wróciłem do zakładu, była godzina gdzieś... no, jak milicja tłum już rozpędziła. Następnego dnia przyszedłem do pracy, kierownik wyprowadził mnie za bramę, przepustkę odebrał. Artykuł 52 kodeksu pracy: chuligaństwo polityczne, wilczy bilet...

Dopełniony innymi rozmowami i relacjami przebieg wydarzeń z 25 czerwca 1976 roku układa się następująco:

Godzina 7.00 — pracownicy Wydziału P-6 Zakładów Metalowych im. gen. Waltera przerywają pracę.

Godzina 8.00 — do strajkującego Wydziału P-6 przyłączają się pracownicy innych wydziałów. Z załogą usiłuje rozmawiać dyre-

ktor Skrzypek, jego argumentacja nie trafia jednak do przekonania robotników, na co dyrektor zachowuje się prowokacyjnie.

Godzina 15.00 — demonstranci obrzucają kamieniami i butelkami z benzyną komendę milicji. Na ulicach pojawiają się ludzie, którzy nawołują do rozkradania wódki i rabują sklepy z alkoholem.

Godzina 16.00 — płonie budynek KW PZPR, Urząd Wojewódzki, Biuro Paszportów KW MO, samochody milicyjne i strażackie.

Godzina 17.00 — na ulice miasta wychodzą robotnicy z drugiej zmiany, wcześniej zwolnieni — „w związku z sytuacją” — z pracy przez swoje dyrekcje. Kto wydał decyzję o skróceniu zmiany, nie wiadomo... Tak czy inaczej, również i ci robotnicy atakowani są przez milicję, zatrzymywani, odwożeni na komendę.

Godzina 18.00 — straż pożarna rozpoczyna gaszenie pożarów.

Godzina 18.30 — demonstranci ponownie atakują komendę milicji, chcą uwolnić aresztantów. Milicja odiera atak, a w pogoni za manifestującymi zgarnia do samochodów wszystkich napotkanych po drodze.

Godzina 19.00 — demonstranci rozchodzą

„Radomski salceson” zamiast partnerskich rozmów

lejkach”. Ci ludzie z zakładów mięsnych i inni zaczęli brać to wszystko i wynosić. Oni to może źle zrobili, bo niszczyli to, niewiele też sami zjedli. Jak szedłem po dziedzińcu, to deptałem po kiełbasach...

Wyszliśmy z rzeźni, to udaliśmy się w kierunku ZREMB. Mały zakład, jedna portiernia. Ludzie porzucili narzędzia i poszli za nami. Wyjechali nawet z zakładu w miasto jednym spychaczem. Idąc z powrotem przez park, doszliśmy do ul. Reja. Spiewy, okrzyki, nie krzywdzące partię i rząd, lecz że chcemy chleba, że chcemy żyć dostatnio i uczciwie. Tak dotarliśmy z powrotem pod Dom Partii. Weszliśmy grupą do środka. Prokopiaka nigdzie nie ma. Ludzie weszli na parter i na pierwsze piętro. Wołają mnie nagle, jedna kobieta z „Radoskóru”, że jest telefon z Warszawy. Poszedłem na górę, do tego pokoju, słuchawka była odłożona. „Słucham” — mówię, a to była jakaś kobieta z Warszawy, która mówi, że chciałaby rozmawiać z tym panem, co czeka na wiadomość w sprawie cen. Ja mówię: „Jestem przy telefonie”, a ta pani mówi tak: „Proszę pana, na temat cen to będzie przemówienie towarzysza Jaroszewicza, premiera czy będzie obniżka cen, czy będą utrzymane”. W ten sposób stwierdziła, a potem pyta się: „Czy jest towarzysz Prokopiak?”, a ja, że nie wiem, bo nigdzie go nie widziałem, czy ja mam wezwać? „Nie nie, niech pan wie konkretnie, że towarzysz Prokopiak prosił o pomoc milicyjną górą i dołem w celu uspokojenia tych ludzi”. Powiedziała mi, że bym wiedział i ludzi postraszył, żeby się uspokoił. Prokopiak zamiast nam dać odpowiedź, poprosił o pomoc milicji. Cóż, moim obowiązkiem było ludziom powiedzieć. Podchodzę do okna. Ktoś podsunął mi taką tubę ratowniczą. Przez tę powiedziałem: „Słuchajcie, poznajecie mnie?”. „Tak poznajemy!”, „Ludzie, jeśli chodzi o ceny, to będzie przemówienie w telewizji premiera Jaroszewicza. A jeśli chodzi o towarzysza Prokopiaka, to wezwał on pomoc milicji górą i dołem!”...

Nie, milicji jeszcze wtedy nie było, ale już od 11.00 słychać było szum samolotów, a nad miastem helikopter krążył. To znaczy, milicja już była gromadzona. Dom Partii zapłonął. Nie, nie było żadnego hasła, nagle zaczęło się palić, najpierw futryny, które chyba były czymś podlane. Nie spodziewałem się, że może coś takiego nastąpić. Gniew? Zemsta ludu? Ludzie chcieli się zemścić na tym sekretarzu? Ja, ja się nie spodziewałem. Tak naprawdę to nas wszystkich ponosiło, tak jakby polski robotnik chciał wreszcie podnieść głowę, powiedzieć swoje słowo. Myśmy się przecież spodziewali, że za pośrednictwem towarzysza Prokopiaka Komitet Centralny nas wysłucha. Ciągłe tylko obiecywali, obiecanki-cacanki, tak wtedy, jak i teraz. Zamiast rozmowy, oszustwa, ciągłe o-

ktor Skrzypek, jego argumentacja nie trafia jednak do przekonania robotników, na co dyrektor zachowuje się prowokacyjnie.

Godzina 8.30 — pierwsi pracownicy wychodzą poza bramę zakładu.

Godzina 8.40 — kilkusetosobowa grupa „Walterowców” idzie do Zakładów Sprzętu Grzejnego, których załoga w większości przystaje na propozycję wspólnego udania się na rozmowę do Komitetu Wojewódzkiego PZPR.

Godzina 9.00 — do manifestantów przyłącza się załoga — w większości kobieca — „Radoskóru”.

Godzina 9.40 — pod komitetem gromadzą się robotnicy w liczbie ok. 6.000 osób. Żądają rozmowy z I sekretarzem KW PZPR, Januszem Prokopiakiem na temat podwyżki cen. Otrzymują odpowiedź, że sekretarz nie będzie rozmawiał z takim tłumem. Robotnicy nie przystają na propozycję wydelegowania na rozmowy kilku przedstawicieli, lecz domagają się, aby sekretarz przemówił do wszystkich zgromadzonych. W tym też czasie blokowany jest — dla zabezpieczenia się przed milicją — ruch na ul. ul. 1 Maja, Struga, Żeromskiego i Słowackiego.

Godzina 10.15 — pod komitetem ściągają załogi pozostałych zakładów, m.in. ZREMB, RWT, Zakładów Mięsnych i Wytwórni Części Zamiennej.

Godzina 11.00 — robotnicy dostają się do wnętrza KW PZPR, szukają sekretarza Prokopiaka, gdyż rozległy się pogłoski, że potajemnie stąd uciekł.

Godzina 12.30 — I sekretarz Prokopiak jednak się odnajduje. Rozmawia z robotnikami, obiecując, że do godziny 14.30 otrzymają odpowiedź na temat cofnięcia podwyżki cen. Oświadczają, że będzie rozmawiał z KC PZPR w tej sprawie.

Godzina 14.00 — ciągle brak odpowiedzi od Prokopiaka, tymczasem od strony lotniska nadjeżdżają zmechanizowane oddziały milicji, które próbują przedostać się pod komitet. W rejonie barykad milicja atakuje robotników miotaczami gazu łzawiącego i działkami wodnymi. Zgromadzeni pod gmachem komitetu robotnicy wdzierają się do jego wnętrza; wyrzucają dywany, konserwy, szynki.

Godzina 14.30 — płonę budynek KW PZPR. Kto podpalił gmach, nie wiadomo. Jest pusty — wszyscy pracownicy w nieznanym sposobie ewakuowali się wcześniej.

Godzina 14.40 — 40-tysięczny tłum rozdziela się: część pozostaje jeszcze pod gmachem, reszta udaje się pod Urząd Wojewódzki i Komendę Wojewódzką MO, mieszczące się w jednym ogromnym budynku, obstawionym teraz przez milicję. Milicjanci atakują demonstrantów gazem i pałkami. Demonstranci barykadują ulicę. Podczas ustawiania barykad pod kołami przyczepy ponoszą śmierć

się do domów, a ściślej — uciekają do domów, często nie własnych, chroniąc się przed coraz liczniejszymi i rozzuchwalonymi ZOMO-wcami.

Godzina 20.00 — po pustoszejącym śródmieściu operują wieloosobowe jednostki milicji, atakujące ludzi, nie mających często nic wspólnego z demonstracjami, a wśród nich starców, kobiety, dzieci. Akcja pacyfikacyjna rozprzestrzenia się na tereny peryferyjne. W osiedlach mieszkaniowych przechodnie nierzadko chronią się w klatkach schodowych, by uniknąć spotkania z rozjuszonymi milicjantami, którzy ostrzeliwują bloki mieszkalne gazem i świecami dymnymi.

Godzina 21.00 — milicja penetruje całe miasto, dokonując kolejnych aresztowań. Nad miastem krąży helikopter.

Godzina 23.00 — koniec akcji, miasto spacyfikowane.

Przez wiele jednak następnych dni trwają aresztowania, odbywają się posiedzenia sądowe i rozprawy kolegium. W sobotę — już pierwsze zwolnienia z pracy, cały następny tydzień — masowe zwalnianie z radomskich fabryk i instytucji.

— Radom stał się miastem terroru i bezprawia — wspomina doktor Zacheusz Pawlak. — Na długo. Ludzie stłamszeni, zduszeni. Do tej pory jeszcze się na dobre nie podnieśli. Pacyfikacja trwała do września. Strach było wyjść na ulicę. Od mundurów — aż niebiesko. Chodzili po czterech, z długimi pałkami na podorędziu. Syn bratanicy, młody Matuszak, stał na przystanku z dziewczyną. Podszedł patrol, zażądał dokumentów. Legitymację studencką zapomniał chłopak z domu. Z tego tylko powodu, w biały dzień, na oczach ludzi, został wypalowany. Takie przypadki były nagminne. Nie ma chyba w Radomiu rodziny, w której ktoś w tych okropnych miesiącach nie został poturbowany — na ulicy, w komendzie, na „ścieżce zdrowia”. Często z blałego powodu, a nierzadko zupełnie bez przyczyny. U jednego z moich pacjentów oglądałem tak zwany radomski salceson, czyli plecy krwawo-czarne od uderzeń pałek. Ba, także i potem, nie tylko w 1976 roku, bito w Radomiu ludzi. Rok później mój pacjent, Zieliński, syn Antoniego, poborowy, miał właśnie iść do wojska. Zabrali go z ulicy. Dlaczego? Pewnie do tej pory nie wie. Jak zobaczyłem ten straszny „salceson” na plecach, dostałem zupełnego szoku, zwołałem cały personel, aby sami zobaczyli — tak skatowanego człowieka nie widziałem, od czasów okupacji... Ba, w zeszytach jeszcze roku, tuż przed sierpniem, widziałem na własne oczy pacjenta pobitego na „ścieżce zdrowia”.

„Ścieżka zdrowia” była nieodłącznym elementem owej strasznej radomskiej rzeczywistości. Przeszły przez nią setki ludzi.

Niektórzy nawet powiadają, że tysiące. A nie jest to wcale nazwa wymyślona przez ofiary. Tej nazwy używali od pierwszych dni sami milicjanci, ktoś ich odpowiednio szkolili i instruowali. Sam widziałem jak to wyglądało. Pewnego dnia poszedłem do KW MO. Wejście na „ścieżkę zdrowia” było od ul. Kilińskiego. Poszedłem i ja tędy: chciałem w komendzie załatwić drobną sprawę jednego z moich pacjentów. Wchodzę do hallu. Prosta — schody w górę. Po lewej — dyżurka, a po prawej — okratowane zejście do piwnicy. I tu widzę kilkunastu ludzi bez koszul, stojących, siedzących, leżących na podłodze. I nagle dopada ich sfera milicjantów z pałkami. Uciekłem, nie załatwiwszy sprawy.

Zeznania i oświadczenia ofiar „ścieżki zdrowia” przeglądam w MKZ NSZZ „Solidarność” Ziemi Radomskiej. Przewodniczący komisji rehabilitacyjnej, Wiesław Mizerski, wyciąga z opancerzonej szafy dwie pękate teczki pełne dokumentów. Większość z nich dotyczy roszczeń finansowych, zgłaszanych przez ludzi represjonowanych dyscyplinarnym zwolnieniem z pracy.

„Rozwiązuję z ob. z dniem... umowę o pracę bez wypowiedzenia z powodu: za samowolne opuszczenie stanowiska pracy w dniu 25.06.1976 r. oraz włączenie się do grup manifestujących na terenie zakładu, co uniemożliwiło zabezpieczenie zakładu przed watargnięciem elementów chuligańskich. Podstawa prawna: art. 52 kodeksu pracy”.

Drucezków o takiej i zbliżonej treści jest tu wiele.

„Komisja orzeka: odwołanie o przywrócenie do pracy odrzucić — tak oto rutynowo kończą się orzeczenia Terenowej Komisji Odwoławczej ds. Pracy przy prezydencie m. Radomia, działającej głównie w składach: A. Minajew, St. Czumiński i J. Padeszwili, Cz. Walczyk, B. Zajac i L. Kowalska, J. Łusakowska, S. Skrzypczyński i G. Mielniczuk, Z. Karlikowska, K. Maleta i E. Szafarz, H. Karpinski, E. Szafarz i W. Król.

Są też dokumenty w rodzaju tego: „Kolegium ds. wykroczeń... po przeprowadzeniu w dniu 20.07.1976 r. rozprawy w postępowaniu zwyczajnym w sprawie ob. ...sina... zamieszkałego w Radomiu, obwinionego o to, że w dniu 25.06.1976 r. brał udział w bezprawnym zgromadzeniu i nie opuścił miejsca zgromadzenia na wezwanie MO, uznaje obwinionego winnym popełnienia zarzucanego wykroczenia”.

W składzie kolegium najczęściej pojawiają się nazwiska: T. Bukowski, Z. Gajewski i L. Kościółek, Z. Lubasiński, J. Szamajda i St. Zak, Z. Jędrzejewski, S. Sużyński i H. Jazdyk.

Są także wyroki — ferowane przez Sąd Rejonowy w Radomiu, Wydział II Karny, działający m.in. w takich składach: przewodniczący — K. Miskiewicz, ławnicy — J. Czesławski i J. Górnik, prokurator — E. Bugajna; przewodniczący — Wł. Frania, ławnicy — I. Piwowarski i W. Nowicki, prokurator — St. Sowa.

Do dokumentów załączone są kopie skarg i prośb, odwołań od wyroków i orzeczeń, kierowanych do KW PZPR i UW w Radomiu, do WRZZ i CRZZ, do ministra sprawiedliwości — J. Bafii, do prokuratora generalnego PRL — L. Czubińskiego, do marszałka Sejmu PRL — St. Gucwy, do przewodniczącego Rady Państwa — H. Jabłońskiego.

Są również i kopie odpowiedzi z najczęstszą formułką:

„Brak jest podstaw do rozpatrzenia wniosku obywatela”.

Każdemu pakietowi dokumentów — wśród których są i wzorowe opinie, i listy pochwalne — towarzyszy pismo przewodnie, skierowane do Komisji Rehabilitacyjnej MKZ NSZZ „Solidarność” Ziemi Radomskiej, zawierające prośbę o pomoc w przywróceniu do pracy i załatwieniu odszkodowania.

— My również wszystkie dokumenty przekazaliśmy do MKZ — mówi Stanisław Górski, przewodniczący Komisji Zakładowej „Solidarności” w zakładach „Waltera”. — U nas zwolniono 380 osób, spora z nich część wróciła już na poprzednie stanowiska i warunki pracy. W zasadzie wszyscy, którzy zgłosili taką chęć. Odszkodowanie otrzymało około 250 osób. Od 3 do 25 tysięcy złotych. Prośba najbardziej typowa?

„Gdy podjąłem pracę ponownie, to moje wynagrodzenie miesięczne było prawie o połowę mniejsze przez okres dwóch lat. Straciłem także urlop za 1976 rok, wystugę lat, trzynastą pensję i inne świadczenia socjalne.”

Są i bardziej szczegółowe wyliczenia: „30 czerwca 1976 roku zostałem niewinnie aresztowany i sądzony z art. 275 par. 1 za udział w zbiegowisku na Dom Partii (...) Zasądzono mi 2,5 roku więzienia, z czego odbyłem karę 7,5 miesięcy (...) Średnia moja płaca przed aresztem wynosiła 4,5 tys. zł, zatem suma do odszkodowania wynosi 4500 × 7,5 = 33 850 zł. Oprócz zniszczenia mnie finansowego, zniszczono mnie również moralnie — wyzywano mnie wszędzie od chuliganów, warcholów radomskich itp. — na co sobie nie zasłużyłem.”

Stanisława W. — frezerka z „Waltera” — pisze o licznych odwołaniach, które spełzył na niczym, a potem stwierdza:

„Byłam młoda, była to pierwsza moja praca (...) Prawie co tydzień chodziłam do pośrednictwa pracy, ale niestety, pracy dla mnie nie było. Nigdzie nie chcieli mnie zatrudnić, składałam podanie o zapomogę, z czego miałam wtedy żyć, to dostałam jednorazowo 800 zł. Byłam wtedy młodą mężatką, byłam w ciąży — wyrzucona na bruk.”

Skarga ta nie należy do wyjątków, jak nie jest rzadkością następujące oświadczenie:

„Przesłuchujący pracownik MO bił pięścią i pałką, gdzie się dało i zmuszał do przyznania się do nie popełnionego czynu (...) zarówno na komendzie, jak i w więzieniu przechodziłem „ścieżki zdrowia”.

Czym była radomska „ścieżka zdrowia”?

Opowiada Jan B., który w czerwcu 1976 roku pracował w Zakładach Mięsnych, skąd zwolniony został dyscyplinarnie, nie mogąc zaś znaleźć pracy w Radomiu, wyjechał na Śląsk:

— Kiedy po południu wracałem od kolegi do Zakładów Mięsnych, aby wziąć motocykl i jechać do domu, doszedłem do ulicy Zeromskiego, a tam doskoczyło do mnie czterech osobników, wykrętili mi ręce do tyłu, dwóch trzymało mnie za ręce, a następni wyżywali się na moich plecach pałkami przez całą drogę do komendy. Kiedy doprowadzono mnie do drzwi więziennych, tam byli ustawieni funkcjonariusze, około dziesięciu osób po obu stronach, i kazali przechodzić bijąc i podkładając nogi, aby się przewrócić. Potem zostałem wprowadzony do pokoju celem spisania protokołu, obchodzono się nie jak z człowiekiem. Przy spisaniu protokołu kazano siadać na podłodze, kiedy powiedziałem, że postoję, natychmiast jeden uderzył mnie pałą i rozkazał siadać na podłodze. Spisujący protokół zapytał drugiego, co ma napisać, ten powiedział: „Napisz, że rzucił kamieniami w milicję”, to ja się odezwałem: „Panowie, jak możecie tak niesłusznie oskarżać kogoś”, to dostalem kolejny raz. Do podpisania protokołu zmuszono mnie biciem, potem wyprowadzono mnie do piwnicy. Tam już była masa ludzi.

— Po pewnym czasie załadowano nas do więziarki i przewieziono do więzienia w Radomiu. W więzieniu pierwsze przywitanie to biciem. Kazano się rozbierać do spodenek. Ubrania rzucili na kupę na korytarzu, a nas wpełchnięto do cel, po ilu się mogło zmieścić. Następnego dnia około godziny 9 wyprowadzono mnie z celi, odszukałem swoje ubranie i ubrałem się. Zawieziono po kilka osób na kolegium. Przed wyjściem z budynku stał samochód, a przed nim ustawiona milicja z pałkami w rękach, i kazali wychodzić pojedynczo, a sami się wyżywali pałkami na plecach. Tak było przy wsiadaniu, jak i wysiadaniu z samochodów... I tak samo przejście pod pałkami przy przyjeździe do więzienia. Trzymają nas w zamkniętym samochodzie. Każdy mokry od potu, bo było okropnie ciepło. Jeden z milicjantów dochodzi do drzwi samochodu,

rysuje palcem na szybie i mówi, że już można, już są cali mokrzy. I każą wychodzić pojedynczo, i bicie. Wprowadzono do cel...

— I co? Teraz się pan dziwi, że ogłosiliśmy w marcu gotowość strajkową w całym Radomiu? — pytają mnie w MKZ, kiedy jestem już po wielogodzinnej lekturze dokumentów, oświadczeń, zeznań, relacji.

MKZ Ziemi Radomskiej ogłosił pogotowie strajkowe w regionie 6 marca 1981 roku.

O powodach tej decyzji informował w ulotce:

„Dlaczego jesteście gotowi do strajku?”

1. Dlatego, że w dniu 25.06.1976 r. towarzysze z KW PZPR zamiast wyciągnąć rękę do robotników, uciekli jak tchorze.

2. Dlatego, że 25.06.1976 r. i potem władze lokalne zaprezentowały swoistego rodzaju dialog ze społeczeństwem — dialog za pomocą pałek milicyjnych, gazu łzawiącego, „ścieżki zdrowia” i bezpodstawnych zwolnień z pracy.

3. Dlatego, że zamiast ukarać sadystów z MO i SB, to fałszywym imieniem społeczeństwa ufundowano im sztandar.

4. Dlatego, że podczas wiecu — podczas speđu na stadionie RADOMIANKA znieważono ludzi pracy.

5. Dlatego, że decydenci zamiast budować szpital, szkoły, hotel, dom kultury zaczęli budować pałac dla milicji na 15 ha ziemi ornej kosztem ok. 1,5 mld zł.

6. Dlatego, że w izbach porodowych kobiety rodzą na korytarzach, a zawałowcy z Radomia mogą liczyć tylko na 5 miejsc intensywnej terapii.

7. Dlatego, że Radom po „czerwcu 76” został poddany represjom gospodarczym (niesprawiedliwy przydział żywności, fatalna gospodarka komunalna i komunikacja, zaniedbanie budownictwa mieszkaniowego).

8. Dlatego, że są ciągle szykanowania działaczy „Solidarności” przez MO. Aresztowani i zatrzymywani bezpodstawnie nawet uczniowie pomagający MKZ w kolportowaniu materiałów związkowych i rozplakaniu towarzyszy ich na mieście.

13 marca 1981 r. premier Wojciech Jarużelski i wicepremier Mieczysław Rakowski przeprowadzają rozmowę na temat Radomia z delegacją KKP NSZZ „Solidarność” z Lechem Wałęsą.

16 marca Wałęsa przyjeżdża do Radomia „gasić pożar” — spotyka się z mieszkańcami miasta na osławionym stadionie „Radomiaka”, gdzie mówi:

— Wszystkie sprawy będą i muszą być wyjaśnione (...) Jednocześnie musimy pamiętać o tym, że chcemy mieć silny, mądry i rozsądny rząd, któremu nie będziemy przeszkadzać (...) Powiemy, że ten rząd potrzebuje czasu, aby poprzestawić meble, te meble stare, zużyte, skompromitowane schować do lamusa i on je schowa. Trzeba także pamiętać i o tym, że bez roku 76, właśnie bez Radomia, nie byłoby roku 80. Bez waszych wniosków, bez waszych ofiar, bez tych „ścieżek zdrowia” nasza walka byłaby inna i na pewno mniej rozsądna.

Ja już podziwiałem wcześniej waszą odwagę, przecież inne ośrodki, jak Bielsko-Biala czy Jelenia Góra i inne nie miały tyle krzywd, co wy. Wy czekaliście bardzo długo na swoją kolejkę, bardzo długo. To jest właśnie wyrobienie polityczne i odwaga. Ja was za to podziwiam.

Przewodniczący „Solidarności” informuje też zebranych, że premier Wojciech Jarużelski odwołał ze stanowisk wojewodę radomskiego Romana Maćkowskiego i komendanta wojewódzkiego MO Stefana Mozgawę. I sekretarz KW PZPR Janusz Prokopiak złożył sam rezygnację wcześniej.

W tydzień po tym — jakże odmiennym od niegdysiejszego — wiecu na stadionie „Radomiaka” rozpoczynają się rozmowy komisji rządowej z radomska „Solidarnością”, które mają udzielić jednoznacznej i wyczerpującej odpowiedzi na pytanie, czym w istocie był Radomski Czerwiec 76.

Czy udzieli?

JACEK INDELAK
czerwiec 1981

Miał bezpośredni dostęp do Stalina. Był zaufanym człowiekiem Chruszczowa. Wykonywał bez skrupułów polecenia swych szefów.

Dlaczego general Iwan Sierow przeżył Berię?

RYSZARD BADOWSKI

To nieprawda, że general Iwan Aleksandrowicz Sierow, znany w Polsce jako zło-wieszczy general Iwanow, zmarł w połowie lat siedemdziesiątych. Z informacji, jakie uzyskałem od dziennikarza radzieckiego Aleksieja Adzubeja w końcu lipca 1989 roku wynika, że przynajmniej wtedy jeszcze żył w Moskwie. Był 84-letnim nie kontaktującym się z nikim sklerotycznym starcem.

Specjalista od spraw polskich

Niedawno nazwisko Iwana Sierowa pojawiło się dwukrotnie na łamach „Odgłosów”. Najpierw Lucjusz Włodkowski przypomniał, że ten bliski współpracownik Ławrientija Berii zajmował się deportacją Polaków z kresów wschodnich w 1939 oraz przyczynił się do aresztowania szesnastu przywódców Polski podziemnej z generałem Leopoldem Okulickim na czele. Potem określił go jako specjalistę od spraw polskich w artykule zatytułowanym „Szyby transporty na Wschód”. Mniej więcej w tym samym czasie w Moskwie została opublikowana lista wyższych pracowników NKWD, odpowiedzialnych za mord katyński. Podobnie jak na wcześniejszej polskiej liście, znanej z książki Janusza K. Zawodnego „Katyń”, znalazło się na niej nazwisko Iwana Sierowa.

Odszedł w przeszłość niezauważony. Zatarło wszelki ślad po nim w II i III wydaniach Wielkiej Encyklopedii Radzieckiej. Wiadomość, że zmarł w połowie lat siedemdziesiątych, Lucjusz Włodkowski powtórzył w ślad za przypisem profesora Eugeniusza Duraczyńskiego do rozdziału „Lublin, Moskwa, Londyn. Sprawy Polaków” w książce tego znanego historyka „General Iwanow zaprasza”. Informację Aleksieja Adzubeja uważam za wiarygodną, gdyż znał on osobiście — i jak wynika z jego wypowiedzi zna nadal — Iwana Sierowa, z którym spotykał się wielokrotnie, gdy tamten stał na czele KGB i był zaufanym człowiekiem jego teścia.

Oto słowa Aleksieja Adzubeja: *Ponuro powstał. Ma ręce we krwi. W Polsce osłaniał tyły frontu marszałka Żukowa. Był wtedy zastępcą Berii. Dlaczego przeżył? Bo w odpowiedniej chwili przyczynił się do aresztowania swego wszechwładnego szefa i zneutralizowania organów bezpieczeństwa, kiedy Chruszczow wraz z Malenkowem postanowili obalić Berię.*

W 1939 roku Iwan Sierow był ludowym komisarzem spraw wewnętrznych Ukrainy. Nikita Chruszczow znalazł go od tamtych czasów. Wtedy Sierow zajmował się deportacją obywateli polskich z Wołynia, Podola, Polesia i okolic Lwowa. Potem sprawował nadzór również nad obozami. Radziecki historyk, profesor Dmitrij Wołkogonow wymienia go jako jednego z tych najbliższych współpracowników Ławrientija Berii, którzy regularnie informowali Stalina o sytuacji w łagrach, gdzie znalazło się niemało Polaków. Był jednym z tych



Collage: Grzegorz Galasiński

funkcjonariuszy NKWD, którym Józef Stalin bezgranicznie wierzył. Profesor Natalia Lebediewa, która dotarła do dokumentów NKWD dotyczących polskich jeńców wojennych, sądzi, że członkiem zbrodniczej „trójki”, która wydała wyroki śmierci na polskich oficerów, był z ramienia Ludowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych inny zastępca Ławrientija Berii — W. N. Mierkułow. W książce Czesława Madajczyka „Dramat katyński” figurujący jako Wasilij, zaś w opracowaniu Marka Ciesielczyka „KGB” występujący pod imieniem Wsiewołod. Jest to jedna i ta sama osoba Radzieckiej autorzy, przez pogardę dla tej postaci, nie podają jej imienia. Mierkułow prowadził w moskiewskich więzieniach na Łubiance i w Butyrkach rozmowy z oficerami polskimi na temat organizacji armii polskiej w ZSRR. Byli to ci, których nie zamordowano w Katyniu, Starobielsku i Ostaszkowie. Na jego ręce szły raporty z komisariatu NKWD w Smoleńsku dotyczące polskich jeńców. Rola, jaką odegrał Iwan Sierow w przygotowaniu i przeprowadzeniu zbrodni katyńskiej, jest mniej jasna. W wykazie nazwisk funkcyj-

nariuszy NKWD, pojawiających się w dokumentach radzieckich w związku ze zbrodnią katyńską, Mierkułow figuruje jako zastępca komisarza ludowego NKWD, zaś Sierow — jako komisarz spraw wewnętrznych Ukrainy. Można zatem sądzić, iż odpowiedzialny jest za losy polskich oficerów z obozu w Starobielsku pod Charkowem. Dotarło już do dokumentów NKWD w Charkowie z lat 1939—40. To może wiele wyjaśnić.

W 1944 roku Iwan Sierow kierował radzieckimi organami bezpieczeństwa na ziemiach polskich, objętych jurysdykcją PKWN.

Specjalizował się w zwalczaniu Armii Krajowej i struktur polskiego państwa podziemnego. Eugeniusz Duraczyński twierdzi, że był już wtedy w stopniu generała-pułkownika. Jest to nieścisłość. Stopień generała-pułkownika Iwan Sierow otrzymał 7 lipca 1945 za usługi w rozgromieniu polskiego podziemia. Profesor Dmitrij Wołkogonow pisze w swej monografii „Triumf i tragedia” o raporcie Iwana Sierowa dla Stalina z jego rozmów z wicepremierem i delegatem rządu londyńskiego na kraj profesorem Janem Stanisławem Jankowskim. Iwan Sierow prosił o podjęcie decyzji dotyczących Stronnictwa Ludowego, Stronnictwa Pracy, Stronnictwa Demokratycznego, Stronnictwa Narodowego i Polskiej Partii Socjalistycznej, które wchodziły w skład Rady Jedności Narodowej. Józef Stalin po zapoznaniu się z tym raportem nie podjął decyzji. Kazał zapytać o zdanie Bolesława Bieruta i Edwarda Osóbka-Morawskiego. Ciekawe czy Iwan Sierow podjął zaleconą mu konsultację z kierownictwem PKWN czy też zarządził porwania działaczy podziemia do Moskwy na własną rękę? Bolesław Bierut miał w związku z tym złożyć protest u Stalina. Co mógłby powiedzieć na ten temat były premier rządu lubelskiego Edward Osóbka-Morawski?

Pod koniec wojny Iwan Sierow coraz częściej składał meldunki wprost na ręce Stalina. Berii zaś donosił o ważnych wydarzeniach w drugiej kolejności. Tak było, na przykład, 8 maja 1945 roku, kiedy to Iwan Sierow zatelefonował z Berlina, iż wydarzył się nieprawdopodobny skandal z aktem kapitulacji III Rzeszy, przygotowanym do podpisania przez

przedstawicieli mocarstw sojusznicznych i feldmarszałka Wilhelma Keitla występującego w imieniu pokonanych Niemiec. W ostatniej chwili okazało się, że tekst rosyjski różnił się od pozostałych. Z winy radzieckiego dyplomaty Smirnowa, który odpowiadał za jego zgodność z dokumentami alianckimi, opuszczono w tłumaczeniu cztery wiersze. Nie zauważył tego nikt w delegacji radzieckiej. Spostreżeni sojusznicy. Spowodowało to opóźnienie o 2—3 godziny oficjalnego zakończenia działań wojennych w Europie. Stalin był przybity „tą odwieczną rozlazłością, towarzyszącą nam wszędzie” (Wołkogonow). Jaki los spotkał sprawcę incydentu, radziecki historyk nie podaje. Iwan Sierow z pewnością znalazł dla niego miejsce w którymś z podległych mu łagrów.

W 1945 roku w Berlinie, Iwan Sierow, mając bezpośrednie poparcie Stalina, czuł się tak pewnie, że wdał się w konflikt z wojskiem. Członkowi Rady Wojskowej okupacyjnej grupy Armii Radzieckiej w Niemczech, jednemu z bohaterów II wojny światowej generałowi-lejtnantowi Konstantemu Tieleginowi zarzucił „nieobiektywny stosunek do funkcjonariuszy NKWD”. Tielegin zaalarmował bowiem marszałka Geоргija Żukowa, że ludzie Sierowa wysłali pod adresem NKWD w Moskwie 51 wagonów „z trofeami”. Iwan Sierow okazał się mocniejszy niż Żukow! Stalin odwołał Tielegina do Moskwy. Sreparowano przeciwko niemu oskarżenie polityczne. Miał stanąć przed sądem oskarżony o „wrogą działalność” i „antyradziecką propagandę”, za co groziło mu 25 lat pozbawienia wolności i konfiskata mienia. Śmierć Józefa Stalina przywróciła mu wolność.

Co porabiał Iwan Sierow między 1941 i 1944 rokiem?

Na to pytanie można znaleźć odpowiedź w jednym z tomów monografii Dmitrija Wołkogonowa. Wraz z Kobułowem, Momułowem i Canawą, bliskimi współpracownikami Ławrientija Berii, opracował i realizował plan wysiedlenia narodów Kaukazu Północnego, Kałmuków i Tatarów Krymskich. Miał już doświadczenia w wysiedlaniu Polaków w głąb ZSRR.

Niektórzy historycy, na przykład Robert Conquest, obwiniają go również o kierowanie akcją wysiedlania w 1941 roku Niemców Nadwołżańskich.

Na ostatnim zaf Stalina, KKPZR (w prze roku) general H Sierow zosta członka Kom partii. Ławrie do Prezydium gwiazda zach Gwiazda Siera tomiast wkra jeszcze pełni Kiedy po Stalina Niki wraz z Geom wem postanow wrientija Ber areny polityce pozyskali poro sława Molotom, ria aresztowa Łazara Kaganwi brata doprowzi bójstwa oraz szylowa, któz w ręku odpedi kiedy przyszl kę. Każdy z biste porachu tego było za ale nia wielkie Uczestnicy spku Berii uzyskał p swych planów bardziej obawli organów bezza kita Chruszczw tę sprawę bie

Iwan Sierow na szefa NK Ukrainie, gd Chruszczow I sekretarzem Ukrainy.

Najwidocznie się porozumiał row obiecal i ników Berii w i słowa dotrzy Ławrientija Bii zauważyła are go szefa w czar Prezydium KC szalek Geоргij Z wódca wojsk ezych wojskow moskiewskiego Moskalenko od pod wzmocony sztabu okręgu. kał na sąd i wr

Aleksiej Adzube wściągłwie pot epizod w swo „Tamte dziesie wiając na boku kie kierowały wem*). Podkreśli Nikita Chruszcz co go czeka, Iwan Sierow wał sobie sprw matorzy Ławrie ga dotrzeć w Sierow miał bę przechwylenia e przecieku o przy akcji. Jak się w scy spiskowcy symum hartu e go momentu. La ria dał się wca lapkę.

Spośród najbl pracowników Berii tylko Iwan Sierow przeżył. W 1953 roku nowisko. A nawe w nagrodę za MGB nie przyszl siecżą. Śledztwo Berii trwało kil Proces odbył drzwiach zamka Nadzwyczajnym

życia Józefa
XIX Zjeździe
sierpniku 1952
płownik Iwan
wybrany na
Centralnego
Beria wszedł
KC, ale jego
blednąc.
miała na
rozbłysnąc.
blaskiem.
Józefa
Chruszczow
Malenkowa
usunąć Ła-
radzieckiej
najpierw
Wiacze-
któremu Be-
potem
którego
do samo-
Woro-
pistoletem
Berii,
jego małżo-
miał oso-
Beria, ale
dla obale-
inkwizytora.
przeciwko
dla
wojska. Naj-
reakcji
Nikity
zapewnił, że
na siebie.

ansował
na
Nikita

raz z nim
generał Sie-
wać stron-
ym resorcie
Ochrona
nawet nie
wania swe-
posiedzenia
KPZR. Mar-
nkow i do-
rzeciwiłotni-
okręgu
generał Kiril
Berii
strażą do
nie miał cze-
k.
dość po-
ktował ten
książce
", pozosta-
notywy, ja-
nem Siero-
jedynie, że
rozumiał,
generał
Zda-
że infor-
Berii mo-
Zdzie. Iwan
y filtrem dla
ewentualnego
zotowywanej
w daje wszy-
w kazali mak-
ż do ostatnie-
wrientij Be-
żnąć w pu-

zych współ-
Lawrientija
Sierow oca-
Bowę i sta-
awansował
że wojska
Berii z od-
w sprawie
miesiący.
się przy
przed
Trybunałem

Sądu Najwyższego ZSRR, na czele którego stał marszałek Iwan Koniew. 23 grudnia 1953 roku Beria został rozstrzelany. Wraz z nim zostali skazani na najwyższy wymiar kary jego zastępcy: Władimir Diekanozow, Wsiewołod (Wasyl?) Mierkułow, L. E. Włodzimirski (podobno Polak z pochodzenia), S. A. Goglidze, B. Z. Kobulow i P. Mieszuk. Mierkułow zabrał ze sobą do grobu największą ilość tajemnic, dotyczących losu polskich oficerów internowanych w ZSRR. Również Diekanozow, który z ramienia Ludowego Komitetu Spraw Wewnętrznych pozostawał w kontaktach z ambasadorem Niemiec w Moskwie Friedrichem von Schulenburgiem w sprawie zwolnienia z radzieckich obozów jenieckich polskich oficerów pochodzenia niemieckiego. Potem został ambasadorem ZSRR w Berlinie. Dziwne, że nie ma go na radzieckiej liście osób związanych z mordem katyńskim.

Po aresztowaniu Berii Iwan Sierow został mianowany szefem resortu bezpieczeństwa. Awansował na generała armii. Na polecenie Nikity Chruszczowa przeprowadził czystkę w składzie osobowym MWD-MGB. Organy ścigania zostały poddane ostrej kontroli Komitetu Centralnego KPZR, a przede wszystkim Sekretariatu KC, którym kierował Nikita Chruszczow.

Radziecki historyk Roj Miedwiediew pisze w książce „Ludzie Stalina”:
„Wszystkie te okoliczności doprowadziły już jesienią 1953 roku do znacznego osłabienia roli Malenkowa. Aparat partyjny wysokiego szczebla coraz śmielej poddawał swojej kontroli wszystkie organizacje państwowe i społeczne, a pierwszym człowiekiem w partii był teraz nie Malenkow, lecz Chruszczow”.

To wystarczyło, aby Georgij Malenkow znenawidził Iwana Sierowa. Swoją niechęć do niego demonstrował w postaci lekceważenia następcy Berii. Generał Sierow zazwyczaj długo czekał na przyjęcie przez niego jak pierwszy lepszy interesant z ulicy.

Wyglaszając tajny referat na XX Zjeździe KPZR w lutym 1956 roku Chruszczow ujawnił przed partią ogrom zbrodni Berii popełnionych na rozkaz Stalina, odsłonił też samowolę nie kontrolowanych przez partie organów bezpieczeństwa. W referacie tym znalazły się wyraźne zaczepki pod adresem Malenkowa. Delegat XX zjazdu partii, szef KGB, generał armii Iwan Sierow został na zjeździe ponownie członkiem KC KPZR. Chyba wiedział już, a przynajmniej przeczuwał, że wkrótce będzie ponownie potrzebny Chruszczowowi.

Przed XX Zjazdem Nikita Chruszczow kazał Sierowowi dostarczyć sobie spisy działaczy partyjnych, państwowych, komsomolskich, wojskowych, gospodarczych rozstrzelanych w latach stalinowskiego terroru, na których widniał również jego anonimowy podpis (dotyczyło to przede wszystkim list proskrypcyjnych z

Ukrainy). Otrzymał je i prawdopodobnie zniszczył. Istnieje świadectwo na ten temat Aleksandra Szelepina, który przejął po Iwanie Sierowie resort KGB w 1958 roku. Nikita Chruszczow zatrzymał, rzecz jasna, wszystkie dokumenty kompromitujące G. Malenkowa.

Kiedy w czerwcu 1956 roku doszło do decydującego starcia między nim a grupą pro-stalinowską Molotowa — Malenkowa — Kaganowicza, wspartą przez Woroszyłowa, Saburowa i Szepilowa, Nikita Chruszczow z pomocą Iwana Sierowa wyeliminował swych przeciwników. Miał mniejszość w Prezydium KC, uzyskał natomiast większość w Komitecie Centralnym, zwołanym na nadzwyczajne posiedzenie. W błyskawicznym ściągnięciu członków KC do Moskwy pomogło wojsko, którym dowodził marszałek Georgij Żukow i KGB, na czele którego stał Iwan Sierow.

Pod koniec 1956 roku szef Komitetu do Spraw Bezpieczeństwa Państwowego przy Radzie Ministrów ZSRR (tak brzmiała polska nazwa KGB) odciął się na lamach „Prawdy” od Berii i Abakumowa, którzy postawili się ponad partią i rządem, wykrzystując aparat bezpieczeństwa dla terroryzowania, zastraszania i szkalowania uczciwych ludzi. Zapewnił, że Komitet do Spraw Bezpieczeństwa Publicznego dokonał poważnej pracy nad usunięciem niedociągnięć i zlikwidowaniem przejawów łamania praworządności. Stwierdził, że nie ma już wewnętrznych przyczyn, aby utrzymywać aparat organów bezpieczeństwa w napięciu. Za główne zadanie KGB uznał walkę z autentycznymi przeciwnikami ZSRR, aby kraj mógł w każdej chwili stawić czoła wrogom zewnętrznym. Amerykański wydawca William Randolph Hearst jr., który pod koniec 1957 roku odwiedził ZSRR, napisał o nim:

„Doskonały urzędnik, który nie ma pretensji, aby stać się politykiem. Przyjmuje polecenia swych szefów i ogranicza się do wykonywania ich decyzji”.

W niespełna rok później prasa radziecka doniosła, że 9 grudnia 1958 roku Prezydium Rady Najwyższej ZSRR zwolniło generała armii Iwana Aleksandrowicza Sierowa z obowiązków przewodniczącego KGB „w związku z jego przejściem na inne stanowisko”. Jeszcze w styczniu 1959 roku widziano go w mundurze generała armii na przyjęciu w ambasadzie Indii, na którym był także Nikita Chruszczow. 23 lutego 1959 wystąpił również w mundurze na uroczystościach z okazji Dnia Armii Radzieckiej. Później zniknął z politycznej sceny. Jego nowej nominacji nie ogłoszono. Przyczyn odsunięcia od władzy także nigdy nie podano.

Zaczęły się procesy rehabilitacyjne.

Na jednym z nich wyszło na jaw, że w czerwcu 1937

roku kierował plutonem egzekucyjnym, który rozstrzelał marszałka Michaila Tuchaczewskiego.

Zył w zapomnieniu. Tylko na Zachodzie przypominano od czasu do czasu, że w listopadzie 1956 roku Iwan Sierow przebywał gościnnie na Węgrzech, gdzie raz jeszcze wcielił się w rolę „generała Iwanowa”. 3 listopada 1956 roku ambasador ZSRR w Budapeszcie zaprosił na kolację ministra obrony narodowej w powstańczym rządzie Imre Nagy'ego — Pala Maletera. Podczas posiłku do pomieszczenia, gdzie toczyły się pertraktacje, wtargnęła grupa funkcjonariuszy NKWD na czele z generałem Iwanem Sierowem i aresztowała całą węgierską delegację. Bohatera powstania narodowego Węrow, Pala Maletera, rozstrzelano. 22 listopada KGB aresztowało w podobny sposób premiera Węgier. Imre Nagy, który schronił się w ambasadzie jugosłowiańskiej, otrzymał zapewnienie, że może bezpiecznie wrócić do domu, nie obawiając się żadnych represji. Został wywieziony do Rumunii, a następnie stracony. Obydwa te przypadki, jak pisze autor opracowania „KGB”, Marek Ciesielczyk, przypominały poprzednie zwabienie i aresztowanie w Pruszkowie w marcu 1945 roku generała Leopolda Okulickiego i jego towarzyszy. Trudno się dziwić. Autor scenariusza i główny jego wykonawca był ten sam.

*) Snop światła na to rzuca opublikowany w 1989 roku przez tygodnik „Ogoniok” list generała-majora Konstantyna Tielegina do Wiaczesława Molotowa, przemycony z łagru w listopadzie 1952 roku. Pisze w nim o okolicznościach swego aresztowania bez przedstawienia nakazu, o upokorzeniach, jakim go poddano i cierpieniach fizycznych (złote koronki wyrwano mu razem z zębami). Na końcu informuje, że sędziowie śledczy oraz kierownicy resortu bezpieczeństwa żądają od niego zeznań o „spisku”, kierowanym jakoby przez marszałka Georgija Żukowa, w którym miał uczestniczyć również... generał-pułkownik Iwan Sierow! Dawano mu do zrozumienia, że Iwan Sierow jest aresztowany. Świadczy to, że Lawrientij Beria chciał się pozbyć swego zastępcy i montował przeciwko niemu intrygę. Iwan Sierow po śmierci Józefa Stalina, a może nawet wcześniej, musiał się o tym dowiedzieć. Kto wie czy Wiaczesław Molotow nie pokazał listu Konstantego Tielegina Nikicie Chruszczowowi, wiedząc, że łączy go z Sierowem dawna znajomość i zażyłość? Nie jest wykluczone, że obaj posłużyli się tym listem również wobec marszałka Georgija Żukowa. Faktem jest, że Iwan Sierow i Georgij Żukow wystąpili potem zgodnie przeciwko Berii.

Chcesz wyglądać elegancko?
Modny sweter, atrakcyjną sukienkę i inne wyroby z wełny lub anilany

KUPISZ TANIO
W SKLEPACH FIRMOWYCH

Zakładów Przemysłu Dziewiarskiego
„IWONA”
Łódź, ul. Sienkiewicza 65
ul. Gdańska 57

o r a z

NA KIERMASZACH
organizowanych przy
ul. Gdańskiej 79
ul. Dąbrowskiego 37

Jednocześnie informujemy, że prowadzimy sprzedaż hurtową na dogodnych warunkach płatniczych dla wszystkich odbiorców.

Zgłoszenia przyjmuje dział zbytu: Łódź, ul. Sienkiewicza 65, tel. 36-90-85.

Zdarzyło się to na jesieni 1941 roku. Zarembowie mieszkali z dala od wsi, w zagajniku oddzielnym od lasu wartkim strumieniem. Z lewej strony stuletniego domu z modrzewia, na wzgórkach, skąd widać było całą dolinę, wieś, pola, zwierzyńnię i ludzi, rósł dąb, starszy od ludzkiej pamięci.

Maciejowa wstała jak zwykle ze wschodem słońca. Otworzyła mu szeroko drzwi sieni na powitanie i struchlała ze zdumienia. Pod progiem w zawiniątku leżało dzieciątko, śliczne jak z kościelnego obrazka, wyciągało do niej rączki jak do matki i śmiało się oczkami. Uklękła przed nim. Tyle lat byli bezdzietni, we wsi śmiali się z niej, że jest jak jałowy krzak, co to kwitnie, ale owoców nie daje. A teraz Bóg zlitował się nad nią.

— Macieju! — wyszeptala tak przejmująco, że usłyszał ją przez ściany i wypadł przed dom trzymając gacie w rękach i zdrewniał.

Dziecko śmiało się, wyciągało rączki i machało nimi, wzywało ich radośnie. Więc wzięła je delikatnie, przytuliła, spojrziała w niebo i bezdźwięcznie wyszeptala. Bogu podziękowanie. Dziecko do rączki miało przywiązaną karteczkę — „Monika”.

— Widać urodziła się z tym imieniem — powiedział Maciej.

Nic co było potem Maciejowa nie pamięta, nie widziała, słyszała tylko jak zwierzyńna dopominała się głośno o swoje, ale ona jakby straciła do niej serce. Krzątała się przy małej, rozwijała i przewijała i lzy jej z oczu płynęły strumieniami.

We wsi wieść o narodzinach Moniki przyjęto bez zdziwienia. Na chrzest przyszła cała wieś. Ksiądz w kilku kazaniach o boskim zmiłowaniu mówił. Maciejowa stara już była, po czterdziestce.

Mijały lata. Ani Maciejowej ani Maciejowi, nigdy nie spowzechniało ich szczęście. Nawet kiedy Monika wyjechała do Wrocławia na studia, syciła ich świadomość, że to ich dziecko uczy się tak jak żadne we wsi. Tak byli z niej dumni, że obrażali ją dumą sąsiadów. Bo Monika nie tylko dobrze się uczyła. Monika była piękną dziewczyną, ale nie tak zwyczajnie, jej piękno wypływało z niej, z jej uśmiechu, z jej wiecznie rozmarzonych oczu.

Nieszczęście spadło na nich nagle, w 1964 roku, właśnie wtedy, kiedy Monika ukończyła studia. Przyjechali z Ameryki jacyś obcy ludzie i powiedzieli jej, że Zarembowie wcale nie są jej rodzicami, że jej rodzice zginęli w getcie i że ona ma stryja w Nowym Jorku, który od lat jej szukał i dzięki Bogu znalazł. Dla Moniki był to wstrząs, początkowo nie chciała o niczym słyszeć, ale tego co raz się powie, cofnąć się nie da. Obcy tak długo kusili, nalegali, aż Monika na prośbę Maciejowej przyrzekła odwiedzić stryja.

Ostatnią noc przed wyjazdem Monika przesiadła pod dębem, a kiedy Maciejowa wyszła przed dom, jak przed laty, żeby powitać wschodzące słońce, Monika rzuciła się jej w ramiona i łkając szepotała: — Mamo, ja cię nigdy nie opuszczę, nigdy, nigdy, nigdy!

Wyjechała ze wsi 18 sierpnia

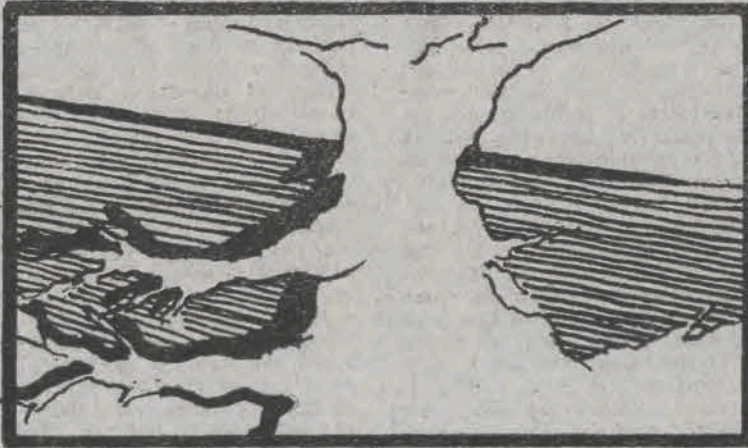
1964 roku. W dwa tygodnie potem Maciejowa zmarła nagle podczas mszy w kościele. A w tydzień potem zmarł Maciej Zarembo. Ludzie mówili, że z żalu i że to była kara boska za miłość, która się tylko Bogu należy.

Po pogrzebie ksiądz wysłał

Między prawdą, a fantazją.

Grudka ziemi spod starego dębu

KAROL OBIDNIAK



Rys. Dariusz Romanowicz

telegram do Ameryki, ale Monika nie wróciła. W jakimś czasie przysłała księdzu dolary na pomnik dla Zarembo i kazała na nim wyrzeć: „Kochanym Rodzicom, Monika”.

I znowu minęły lata, aż tu nagle 18 sierpnia 1984 roku, zjechali do wsi goście z Ameryki. Przyjechali z Moniką. Przyjechali, przywieźli ją na wózku inwalidzkim. Przejechała na nim przez całą wieś, aż pod dom Zarembo, ludzie wychodzili z domów i szli za nią, jak za księdzem w procesji.

Ale nikt się nie cieszył, cichcem tylko ten i ów przecierał oczy. Podobno, bo nikt we wsi nie wie tego na pewno, po otrzymaniu telegramu o śmierci Zarembo, Monika zaniemogła, popadła w taką, jak we wsi mó-

willi — niemoc. W taką chorobę bez nazwy, na którą nie ma lekarstwa.

Kiedy nastał w Polsce stan wojenny, zaczęły przychodzić do wsi paczki z Ameryki. Nie wiadomo od kogo, ale ludzie wiedzieli. Kiedy więc teraz jechała przez wieś, szli za nią szepcąc

mówili po polsku, kiedy ich o to pytano. Śmiali się i wskazując na nią, mówili, że to jej dzieło. — Jeżeli mnie kochacie — powiedziała — zwracajcie się do mnie językiem mojej miłości. Widać bardzo ją kochali, bo mówili po naszymu piękniej od nas.

W pewnej chwili przemówił ksiądz, powitał gości w imieniu wszystkich parafian, podziękował za to co dla parafian zrobili i poprosił wszystkich o rozejście, a kochanych gości do siebie na kolację i spoczynek.

Nagle i niespodziewanie odezwała się Monika.

— Ja proszę, tu zostań. Tu pod tym dębem!

Na nic nie zdążyła tłumaczyć, że jakże to, że noc może być zimna, deszcz. Mąż i syn popatrzyli na nią z przejęciem. Oni wiedzieli, że skoro ona tak postanowiła, to tak być musi, że musi być w tym jakiś sens, którego oni nie pojmują, jakaś tajemnica, przez nie tylko rozpoznawana, a im wciąż obca i nieodgadniona.

Odeszli więc od niej, pełni pokory, pozostawiając ją samą, bezbronną wobec wspomnień. Ale tego chciała i trudno było jej odmówić. Na boku tylko uzgodniono z bratankiem Zaremby, by czuwał nad jej potrzebami.

Zarembowie czuwali do późna, ale zmęczeni przygotowaniami, czuwaniem, zasnęli przed wschodem słońca. Nie widzieli więc jak to się stało. Kiedy się obudzili, słońce wyszło już ponad drzewa, a Monika chodziła wokół dębu i coś do siebie mówiła. Od strony plebanii zbliżali się właśnie mąż Moniki, syn i ksiądz, szli jakby niesieni podziwem dla cudu, który na ich oczach się stawał. To czego nie mogli pojąć tam w Ameryce, nagle wydało im się tak proste i zrozumiałe, tu się urodziła i tu do życia wróciła. Widać człowiekowi jest potrzebna nie pamięć pamiętek, ale i pamiętki. Czasem może to być grudka ziemi przywracająca sens i chęć życia.

— w duchu, aby Bóg dał jej zdrowie.

Przed domem rodzinnym powitał ich bratanek Zaremby z żoną, dwójkiem dzieci i księdzem, który był wcześniej o wszystkim powiadomiony. Dom był umajony jak na Wielkanoc. Nad drzwiami był napis: „Witaj w domu”.

Ale Monika nie chciała wejść do środka, wodziła oczami po drzewach, po okolicy, ludzie wypytywali ją o to i o owo, a ona milczała, bez słowa kazała pielęgniarce podwieźć się pod dąb i dokładnie pokazała miejsce, gdzie ma ją zostawić. Sama chciała być pod dębem i nikogo nie chciała do siebie dopuścić, ani męża, ani syna.

Mąż, przystojny starszy mężczyzna, a i syn także, dobrze

PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWE

FORMO

Spółka z o.o.

ul. Poli Gojawicyńskiej 1/3

powstała na bazie PPP „Dąbrowa”

O F E R U J E:

▲ WYROBY i USŁUGI ▲

w zakresie:

- wszelkiego rodzaju prefabrykaty betonowe i żelbetowe,
- stropy gęstożebrowe, nie wymagające szalunku do montażu ręcznego,
- wyroby i usługi ślusarskie i zbrojarskie,
- beton towarowy,
- galanterię betonową typu: pustaki, płyty chodnikowe, obrzeża trawnikowe, płyty „Jomb” itp.

Ceny konkurencyjne do uzgodnienia!

Tel. 43-50-30, centr. 42-81-75, wew. 25, 59.

Reportaż w kasynie gry.

Najlepiej mieć dolary!

BOGUMIŁ A. MAKOWSKI

Nielegalne kasyna gry zdarzają się na świecie. Nikt nie lubi płacić podatków. Zaczęłam szukać kontaktów i „dojść”, aby znaleźć się oko w oko z podniecającym przestępstwem.

Pomogło przypadkowe odświeżenie szkolnych znajomości. Spotkałam kolegę, który od niedawna mieszkał kilka domów ode mnie. Teraz mieszka na drugim końcu Łodzi, ma żonę i dzieciaka.

Janusz długo mnie badał, po co chcę się dowiedzieć czegoś o kasynie?

Wziął wizytówkę, mruknął pod nosem „dziennikarz” i powiedział, że wprawdzie nie wie, ale jakby coś to da znać.

— Może byśmy się jakoś spotkali — po kilku dniach usłyszałam w słuchawce. Przy herbacie dał mi do zrozumienia, że jestem swój człowiek. Poinstruiował — strój wieczorowy, muszę mieć przynajmniej 50 dolarów. Ta pięćdziesiątka jest najmniejszą kwotą, którą można zamienić na żetony. Janusz zdawał sobie sprawę, że będę chciała wszystko opisać, ale tylko pod jednym warunkiem — bez adresów, nazwisk i jakichkolwiek identyfikujących szczegółów.

Wystrojony w ciemne spodnie i dyżurną marynarkę w pepitkę w sobotni wieczór przyjechał do Janusza.

— Coś ty na siebie włożyła? W tym ze mną nie pójdiesz. Zdykwalifikowałbyś mnie w oczach przyjaciół. Powiedziałem, że chociaż gołodupiec, to jednak ktoś.

Musiałem wyprawe odłożyć na dwa tygodnie, bowiem kasyno pracuje w co drugi piątek i sobotę.

Nowa modna marynarka, nowe spodnie, śnieżnobiała koszula, w portfelu dolary. Jadę za szarym mercedesem Janusza. Dom przed którym się zatrzymujemy jest brzydki — szara kanciasta bryła, jeszcze nie otynkowany bunker. Samochody zaparkowane w nieładzie nie grzeszą czystością.

Domofon, furtka...

— Tylko za bardzo się nie rozglądaj, graj trochę, a nie tylko jedz i pij!

Drzwi, duży przedpokój. Za drzwiami prawie niewidocznymi, bo sprytnie wkomponowanymi w ścianę z drewna są schody.

Dyskretne światło ze stylizowanych elektrycznych kandelabrow, pod sufitem kryształowy żyrandol. Opary tytoniowego dymu. Cichutko szumi wentylacja. Zanim stanę przy stole z ruletką, muszę wymienić dolary na żetony. Dostają ich pięć, wszystkie zielone w jakimś herbem w środku. Każdy wart dziesięć dolarów.

Patrząc na zadbane ręce widać, że ci ludzie pracują przede wszystkim głową. Trochę sygnetów, bransolet, ekstrawagancka biżuteria — srebro jest najmniej szlachetnym kruszcem. Już mam postawić, ale jeszcze, jeszcze... Tylko pięć żetonów, jeszcze nie ma północy a zabawa może toczyć się do czwartej rano. Nie chcę się od razu zgrać i zaraz wyjść.

— No, co się tak rozglądasz? Graj! — podchodzi Janusz z żoną.

Kolory czarne, białe, trochę czerwieni, srebra i złota. Długości różne, tak samo jak różny wiek osób przegrywających tu pieniądze. Ale to ich pieniądze, więc wolno im. Wysokość obcasów też różna, różny lakier na paznokciach. Wszystko niby różne, ale jest widoczna jakaś jedna wspólna linia. Ci ludzie nie piszą listów do Jacka Kuronia.

Podszedł do mnie osilek i schwywszy „lekko” pod ramię spytał czemu nie gram i czy czegoś szukam, że się tak rozglądam. Jak mi się nie chce grać i żadnych interesów nie zalamam, to mogę iść, przecież nikt mnie nie trzyma.

Wziąłem kanapkę z szynką, później się rozochociłem — był i kawior, i łosoś, salami, i ślimaki. Jedna niepełna szklaneczka jakiegoś drinka wystarcza mi na połowę wieczoru. Tu pije się bardzo mało.

Wreszcie decyduję się zagrać. Na przekór losowi stawiam na trzy-nastkę. Krupier w smokingu po polsku ogłasza, że obstawianie zakończono. Terkocze kulka puszczona na wirujące koło ruletki. Cisza. Muzyka syczy się delikatnie z głośników.

Patrzę na siwego „jeża” w grubych okularach. Przed nim leży całym pokazną kupką żetonów. Obserwuję go przez kilka kolejek. Stawia ot tak sobie — niedbale rzucając żetony na stół. Też tak robię, ale trafiam na linię graniczną dwóch pół. Krupier pyta na co stawiam i grabkami przesuwają żeton na właściwe miejsce. Znowu nie. Szczęście za to uśmiecha się do młodego chłopaka, który jest w towarzystwie znacznie starszej od siebie blondynki.

Kanapka, spacer dokoła sali, ktoś wychodzi, ktoś wymienia dolary na żetony, papieros na sofie, niechcący podsłuchana rozmowa o interesach i znowu do stołu. To wciąga. Dla mnie czas płynie tu zbyt wolno, za to moje żetony zbyt szybko zmieniają właściciela. W kleszeni ściskam już ostatni.

Pan Czesław jakoś nie pasuje do tego miejsca. Bardziej pasuje, no... powiedzmy na krawca niż kasyniarza. Później, dowiaduję się, że na pół etatu jest gdzieś księgowym, zaś podstawowym (czyt. zezwienionym i opodatkowanym) źródłem utrzymania jest kwiatarnia żony. Pan Czesław jest ojcem trzech córek, wszystkie studiują. O tym wszystkim dowiaduję się siedząc w wygodnym fotelu w niewielkim pokoiku.

— A jak sobie pan radził z policją? Przecież to jest nielegalne.

— Wszyscy musieliśmy przestrzegać reguł gry. I ja, i oni. Kiedyś bywał u mnie oficer SB, ale teraz już są skończeni i do niczego niepotrzebni. Jeżeli teraz szukać jakichś układów i parasola, to w zupełnie innych kręgach, ale w czerwcu zamykam interes i może postaram się o zezwolenie. Skoro powstały już w Polsce legalne kasyna, to ja też mogę zalegalizować swoją „szulernię”. Zaś co do nielegalności, to sprawa jest dyskusyjna. Przecież do niedawna hazard w Polsce był niemal zupełnie zakazany. Na jakiej więc podstawie w „Maximie” były rzędy „jednoreknych bandytów” — automatów w stu procentach hazardowych. Polak legalnie w ruletkę i Black Jack'a mógł zagrać albo gdzieś za granicą — już w Jugosławii, albo na polskich promach kursujących do Szwecji, o których przez hipokryzję mówiono, że nie są polskim terytorium, jednak przy dobrych i „szustnych” okazjach mówiono, że są „wyspą polskość”, mecenasem Polski i tak dalej.

A tak poza wszystkim, to czy to jest hazard jak przyjdą moi znajomi i trochę sobie pograj. Przy tym zalamują interesy. Przecież brydż u pana w domu nie jest chyba hazardem, za który można iść siedzieć, chociaż też można w niego grać na pieniądze. Ale a propos policji. Pan jest z prasy, to czy nadal pracują... — tu wymienił kilka nazwisk. Potwierdziłem.

O dochodach pan Czesław nie chce mówić. Owszem, ruletką to niezły zarobek, ale tak naprawdę — dużo pieniędzy, mało pieniędzy to pojęcie względne. Na studia poza Łodzią jednej z córek nie chciał się zgodzić, bo byłoby to niepotrzebne wyrzucanie pieniędzy, skoro na miejscu można studiować to, co się akurat chciało. Przyszli zięciowie? To sprawa dziewczyn, „nie ja będę wychodził za mąż”. Skąd ma ruletkę? Znajomi pomogli zrobić, zresztą dzisiaj tu grają. Grać można tylko za waluty wymienialne, nie przyjmuje się w zastaw samochodów, biżuterii czy domów. Wszyscy znają reguły i nie ma potrzeby kogokolwiek pilnować.

— No, a ten osilek?

— O, to drobiazg. Chyba nie uraził, ale ja też mimo wszystko muszę stosować reguły ograniczonego zaufania.

Gra się co drugi tydzień, bo konieczne jest poświęcenie czasu na sprawy rodzinne. Zawsze należy telefonicznie uprzedzić o wizycie. Dom taki niewykonywany i nie specjalnego, bo po co wzbudzać ludzką ciekawość. Pan Czesław ma „malucha”, jego żona wartburga combi. Córki niech się same zaczęły dorabiać i zobaczą jak się na chleb pracuje. Jeżeli będą warte, to im rodzice pomogą. A jak się żyje, tak ogólnie? Za Gierka było lepiej. Teraz coraz gorzej, wszystko drogie.

Ostatni żeton też przegrałem.



Optycy · Ajenci · Handlowcy!

PRZEDSIĘBIORSTWO OBROTU ARTYKUŁAMI FOTOOPTYCZNYMI



FOTOOPTYKA

w ŁODZI, ul. PRÓCHNIKA 1

OPERUJE DO SPRZEDAŻY:

1. NAJTAŃSZE SOCZEWKI OKULAROWE
2. TANIE OPRAWY OKULAROWE Z IMPORTU

Indywidualne zamówienia realizujemy w formie wysyłki pocztowej za pobraniem należności przez listonosza. Przy zakupach bezpośrednich powyżej 100 sztuk jednorazowo, stosujemy ceny zbytu.

Zachęcamy do nawiązania stałego kontaktu z naszymi branżystami, Łódź, ul. Wiewiórkowskiego 43/45. tel. 32-43-45, 32-38-14.

Warto przypomnieć jak tworzyła się w Łodzi społeczna służba bezpieczeństwa, zastępująca zmienioną policję carską i pruską, a równocześnie stanowiącą główny zrąb późniejszej policji komunalnej.

Niemal natychmiast po wypowiedzeniu przez Niemcy wojny Rosji administrację cywilną Łodzi ogarnęła panika. Rozpoczęła się masowa ewakuacja urzędów i instytucji państwowych, policja traciła głowę i zdolność zapobiegania bezprawiu. Z nastaniem zmroku ulice i zaułki opanowywał element przestępczy, szerzyły się grabieże, rosło zagrożenie bezpieczeństwa publicznego. Chaos potęgowały tłumy rezerwistów próżno szukających ko-

odpowiadać możemy. Nie szerzy strachu i popłochu! Spokoju i rozważli!"

Do służby w szeregach milicji stanęło około 10 000 ochotników zdecydowanych na pełnienie swych obowiązków bez żadnego wynagrodzenia. Tylko szeregowi milicjanci mogli liczyć na gorącą herbatę, chleb, czasem na bezpłatny obiad. Podstawowy trzon milicji stanowiły zawodowe, ochotnicze i fabryczne strażaki ogniowe. Na czele stał Centralny Komitet Milicji Obywatelskiej pod przewodnictwem inż. Tadeusza Sułowskiego, liczący 25 osób, w tym m.in. 9 tzw. uciążliwych (dzielnicowych), naczelnika więzienia, przedstawicieli organizacji charytatywnych i społeczeństwa. Komendantem głównym milicji został mianowa-

nasza samym już podjęciem wzniosłej sprawy złotymi zgłoskami zapisana się w kronice naszego miasta. Ktokolwiek kreślić będzie dzieje naszej Łodzi, będzie musiał poświęcić szczytne wspomnienie Milicji".

Dla mieszkańców miasta pierwsza wojna światowa zaczęła się 20 sierpnia 1914 r., gdy cisze ulic wypełnił tupot podkutych żołnierskich butów oddziału piechoty, zajmującej miasto w imieniu cesarza Niemiec. Okupacja trwała zaledwie kilka dni i znów na krótko powrócili Rosjanie, a wraz z nimi pozorny spokój i wszechwładza carskiej policji. W tym czasie działalność milicji uległa zawieszeniu. Skoncentrowany atak armii niemieckiej na pozycje Ro-

czątkowo w pałki, a potem w szable. Nazywano ich pałkarzami w odróżnieniu od żandarmów, określanymi mianem blacharzy.

W podsumowaniu swej zaledwie rocznej działalności Centralny Komitet Milicji Obywatelskiej stwierdzał:

"Milicja Obywatelska podczas swej działalności przyjęła na siebie dobrowolnie ciężkie zadania, związane z wielostronnymi objawami miasta przemysłowego jakim jest Łódź, w chwilach ogólnego rozprężenia, zdenerwowania, biedy niezwykłej; napotkała też w swej działalności, będąc nie przygotowaną do tej funkcji na wiele represji, utrudnień ze strony władz niemieckich, zlej niejednokrotnie woli mieszkańców, a mimo to gotowa była, nie zważając na wszystkie te okoliczności, wytrwać na stanowisku najdłużej, byle nie dopuścić do steru żywiołów naszego społeczeństwa wrogich. W chwili rozwiązania Milicja Obywatelska odchodzi od pracy z zadowaniem wewnętrznym, iż organizacja służyła dobrej sprawie i że potrafiła wykrzesać z wielkich rzesz obywateli dużo poświęcenia i oddania swych sił bezinteresownie dla dobra miasta i kraju".

Łódzka Milicja Obywatelska jako pierwsza wolna od carskiego dyktatu polska służba bezpieczeństwa służyła jako wzór dla później powstałych organizacji w Warszawie i w innych miastach byłej Kongresówki. Po odzyskaniu niepodległości na miejsce rozmaitych organizacji milicyjnych zaczęto tworzyć podwaliny jednolitego korpusu Policji Państwowej, podległe początkowo lokalnym władzom samorządowym. Prócz policji komunalnej istniały formacje Milicji Ludowej, Żandarmerii Krajowej b. Galicji, Żandarmerii Krajowej b. zaboru pruskiego, Policji Województw Wschodnich, Policji Litwy Środkowej.

Natychmiast po ucieczce władz okupacyjnych tymczasowy prezydent miasta Łodzi inż. Leopold Skulski zwrócił się do przebywającego w mieście gen. Stanisława Suryn-Massalskiego z prośbą o zorganizowanie Milicji Miejskiej. General, dobrawszy sobie do pomocy oficerów z korpusu gen. Józefa Dowbora-Muśnickiego, powierzył im funkcje kierowników siedmiu komisariatów. Kadre szeregowców i oficerów milicji stanowili członkowie Związku Legionistów i Związku Dowborczyków. Obsadę posterunków i komisariatów ustalono w nocy 14 listopada 1918 r. Milicjanci pełnili służbę w ubraniach cywilnych, jedynym wyróżnieniem była granatowa maciejówka z amarantowym otokiem i tegoż koloru paskiem. Na służbie milicjant nosił początkowo amarantowo-białą opaskę, wkrótce zastąpioną ryngrafem z wyraźnie oznaczonym numerem służbowym milicjanta. Gorliwi milicjanci stwierdzili, że naczelnik oddziału politycznego byłej niemieckiej policji komisarz Kiliński zdażył przed opuszczeniem swego biura spalić wszystkie ważne dokumenty i papiery, a wśród nich wykazy konfidentów policji, jednakże okazało się, że znalaziono duplikat owego rejestru, który zamierzano opublikować na łamach prasy.

15 grudnia 1918 r., wskutek rozporządzenia władz centralnych, Milicja Miejska została przemianowana na Policję Pań-

ŁÓDŹ: — Najkrótsza historia milicji i policji z czasów pierwszej wojny światowej i odzyskania niepodległości.

Policjant i obywatel - to jedno

ANDRZEJ KEMPA

misji poborowych. W tej atmosferze grupa poważnych obywateli miasta zwróciła się z prośbą do ówczesnego komendanta miasta gen. Wasillewa o zezwolenie na organizację Milicji Obywatelskiej i podział miasta na 9 dzielnic. Równocześnie trwały zabiegi o powołanie do życia Głównego Komitetu Obywatelskiego, przejmującego na czas trwania wojny funkcję samorządu terytorialnego i organizację społecznej służby bezpieczeństwa. Na czele Komitetu stanął znany przemysłowiec Alfred Biedermann.

Władza rosyjska nie istniała faktycznie już od 7 sierpnia 1914 roku, miasto znalazło się w bezpośredniej strefie działań wojennych. Jednym z pierwszych przedsięwzięć Komitetu było wydanie 9 sierpnia 1914 r. odezwy do mieszkańców Łodzi, zapowiadającej powołanie milicji miejskiej:

"Obywatele! Sami sobie radzić musimy. Nad porządkiem w mieście nie tylko straż obywatelska, ale każdy dobrze myślący obywatel czuwać powinien. Na rozkaz członka Straży Obywatelskiej z pomocą mu spieszy każdy. Biedni, bądźcie spokojni i cierpliwi. Bogatsi, pamiętajcie o biedniejszych. W razie wkroczenia armii do miasta spokój i porządek bezwzględnie zachować należy. Na ulicę wychodźcie tylko w razie pilnej potrzeby. Dzieci nie wypuszczać na podwórze i ulicę. Baczność obywatele! Na wojnie sąd krótki i kula w głowę. Za wybryk szaleńca wszyscy

ny przemysłowiec Leon Grohman. Każdy milicjant nosił, wyróżniając go w zależności od pełnionej funkcji, opaskę. Członkowie Centralnego Komitetu nosili opaski zielone, uczątkowi — żółte, rewirówi — niebieskie, milicjanci — białe. Milicja obsadziła dworce, więzienia, wymagające ochrony instytucje użyteczności publicznej, podjęła się utrzymania porządku w mieście, ochrony majątku i życia obywateli, a także przeciwdziałania spekulacji, lichwie i nierządowi.

Natychmiast po podjęciu działań milicja złożyła swemu miastu daninę krwi. Już 11 sierpnia 1914 r. patrol milicyjny zetknął się z bandytami grasującymi w rejonie ulicy Aleksandrowskiej (obecnie Bolesława Limanowskiego). Bandyci zostali wprawdzie pojmani, ale dwaj milicjanci zostali ciężko ranni, zaś jeden zginął na miejscu. Pogrzeb zabitego milicjanta stał się manifestacją poparcia dla społecznej służby bezpieczeństwa. Komitet Obywatelski wydał z tej okazji odezwę:

"Zbrodniarz targnął się na życie tych, którzy najświętszą sprawują służbę. Wiadło o potwornej zbrodni na osobach dwóch członków naszej Milicji Obywatelskiej obiegła nasze miasto, przejmując ludność całą niebywałą grozą. Nasza Milicja złożyła największą ofiarę, bo krew swoją na ołtarzu dobra miasta naszego, w obronie życia i mienia jego obywateli. Milicja

sjan pod Włocławkiem 11 listopada 1914 r. rozpoczął tzw. operację łódzką, podczas której przez kilka dni (19-23 XI) mordercze walki trwały na dalekich przedmieściach miasta, od strony Chojen i Rzgowa, bombardowany został Dworzec Fabryczny i tory kolejowe. Milicja zwiększyła w tym czasie kredyty zaufania społecznego, przeciwdziałając grabieżom i nastrojom defetyzmu.

Już na początku października 1914 r. siły milicji okazały się zbyt szczupłe dla realizacji zadań, w związku z czym powołano płatną straż miejską w liczbie 300 osób, pobierających wynagrodzenie w wysokości 50 kopiejek za osmiodziesiętną służbę. Wobec obniżenia się poziomu życia zredukowano z czasem liczbę milicjantów wykonujących swe obowiązki bezpłatnie na rzecz zwiększenia liczby płatnych szeregowców milicji do 1100 osób, z tym wszakże zastrzeżeniem, że członkowie milicji od rewirowego poczynając nadal pełnili obowiązki bezinteresownie. Decyzja o zmniejszeniu kontyngentu milicji zapadła niewątpliwie pod naciskiem władz okupacyjnych, przejmujących stopniowo administrację cywilną na obszarze miasta. Szczególnie ostre zatargi z Niemcami wybuchły na tle rekwizycji koni oraz rejestracji prostytutek. Wykonywanie tych obowiązków Niemcy zlecili polskiej milicji, spolykując się z jej strony z kategoryczną odmową. 4 lutego 1915 r. powstało w Łodzi Cesarstwo-Niemieckie Prezydium Policji, na którego czele stanął typowy pruski urzędnik Mateusz von Oppen.

Nakaz poddania milicji miejskiej władzy pruskiej komendantury oraz polecenie przeniesienia Centralnego Komitetu do siedziby policji kryminalnej spowodowały kolejny kryzys w stosunkach między milicją a władzami okupacyjnymi. Okupanci rozwiązali wreszcie 30 czerwca 1915 r. Główny Komitet Obywatelski wraz z podległymi mu agendami, a wraz z nimi również z Centralnym Komitetem Milicji. Jego funkcje przejęło Prezydium Policji. Funkcjonariusze policji uzbrojeni byli po-

Biuro Projektowania i Realizacji Inwestycji
„CHEMITEK”

Łódź, ul. Uniwersytecka 2/4

UDOSTĘPNI LOKAL BIUROWY

w budynku przy ul. Uniwersyteckiej 2/4

— 3 kondygnacje, tj. ok. 1500 m kw., centrum miasta — wysoki standard, warunki do uzgodnienia — kontakt tel. 78-18-08.

stwowa, podległa bezpośrednio głównemu inspektorowi PP. 20 stycznia 1919 r. teren Łodzi został podzielony na 14 komisariatów, w trzy dni później ze stanowiska Naczelnika PP w Łodzi ustąpił gen. Stanisław Suryn-Massalski, a jego obowiązki przejął Bohdan Zbrożek. Na przełomie lat 1918—1919 nastąpiła stopniowa unifikacja przepisów o Policji Państwowej i zmiana nazewnictwa.

9 lutego 1919 r. odbyło się w Łodzi uroczyste zaprzysiężenie Milicji Miejskiej na służbę w Policji Państwowej, 24 lipca tegoż roku ogłoszono ustawę o policji państwowej, z której wynikało, że „policja jest podstawową organizacją służby bezpieczeństwa. Policja państwowa jest organem wykonawczym władz państwowych i samorządowych i ma za zadanie ochronę bezpieczeństwa, spokoju i porządku publicznego”. 29 września 1919 r. na stanowisko komendanta PP miasta Łodzi został powołany podinspektor Ryszard Gallera. Jubileusz dziesięciolecia polskiej służby bezpieczeństwa stworzył podstawy do refleksji na temat roli policjanta w społeczeństwie. Były prezydent miasta Łodzi Aleksy Rzewski zauważył, że odszedł w przeszłość zarówno rosyjski gorodowój, jak i pruski Schutzmann, przed którymi drżeli zniewoleni mieszkańcy miasta. „Stosunek społeczeństwa do policji uległ radykalnej zmianie — pisał Aleksy Rzewski. — Pogarda i nieufność ustępuje miejsca wzajemnemu szacunkowi i zaufaniu”. Dr Bolesław Fichna, prezes Rady Miejskiej m. Łodzi, skłaniał do takich przemyśleń: „Policjant to nie mój wróg, a przyjaciel. Komisariat policji to nie ponury, groźny dom, dokąd idę ze strachem i tylko z konieczności, ale to przybytek jasny i ciepły, gdzie zawsze znaję i pomoc, i radę, i opiekę, a dokąd idę z ufnością, że mnie cierpliwie wysłuchają i w biedzie pomogą (...) Nie można rozróżniać tych dwu pojęć: policjant i obywatel. Można tylko mówić, że ten lub inny policjant jest złym lub dobrym obywatelem, tak jak się mówi o każdym adwokacie, lekarzu, księdzu, robotniku, nauczycielu itp. Naszym w stosunku do policjanta jest jedno życzenie, aby dobry policjant z okręgu wojewódzkiego łódzkiego był jednocześnie dobrym obywatelem kraju i pożytecznym członkiem społeczeństwa”.

Należy dążyć do tego, by zarówno społeczeństwo, jak i policja zrozumiały wzajemne powiązania i zależności. Gdy znikną animozje, to choćby się policji nie kochało, trzeba będzie uznawać jej potrzebę, bo po prostu nie ma innego wyjścia. Od nas samych zależy, by już nigdy więcej strażnicy bezpieczeństwa,ładu i porządku publicznego nie posłużyli się orężem bezprawia przeciw własnemu narodowi.

„Polscy Niemcy” w czasie drugiej wojny światowej

Byli ze wszystkimi

Robert Geyer i Guido John byli potomkami starych rodów łódzkich fabrykantów. Mimo niemieckiego pochodzenia byli mocno związani z Polską. W czasie wojny założyli Komitet Obywatelski, którego celem była obrona ludności przed agresywnymi atakami hitlerowców. Nie przyjęli volkslisty. Obaj zginęli za to, że wybrali polskość.

Zyje jedyny świadek ich śmierci. Jest nim przyjaciel Guido Johna, Zygmunt Krauze — Polak niemieckiego pochodzenia, uczestnik trzeciego powstania śląskiego, żołnierz AK.

— W listopadzie 1939 roku zostałem poproszony do Johnów na kolację. Na kolacji miała być również obecna rodzina Geyerów. Drzwi otworzył mi stary służący Johnów ze słowami: „Straszne nie-szczęście”. Wbiegłem do gabinetu. Powiedziano mi, że przed paroma minutami był kościelny z wiadomością, iż do kościoła przy kościele Matki Boskiej Zwycięskiej przywieziono zwłoki Roberta Geyera i Guido Johna. Natychmiast pojechałem tam z bratem Guida — Ottonem, jego siostrą i naszym wspólnym przyjacielem Adrianem Renchem. Tragiczna wiadomość okazała się prawdziwa.

Jak doszło do śmierci potomków bogatych rodzin łódzkich fabrykantów?

Po wkroczeniu wojsk niemieckich do Łodzi zaczęły się pierwsze prześladowania ludności polskiej. Guido John i Robert Geyer jako przedstawiciele Komitetu Obywatelskiego udali się do komendanta łódzkiego z protestem. Po krótkiej rozmowie gestapo przewiozło obu członków komitetu do mieszkania Roberta Geyera. Tam, według relacji służącego Geyerów doszło do ostrej wymiany zdań między gestapowcami a obu przyjaciółmi. Wymiana zdań zakończyła się strzelaniem Roberta Geyera. Przerazonemu Guido Johnowi udało się wyskoczyć przez okno. Został zastrzelony w parku.

— Przed wojną wiele rodzin niemieckich mieszkających w Polsce polonizowało się — opowiada Zygmunt Krauze. — Ich dzieci chodziły do polskich szkół, często nie umiały słowa po niemiecku. Za przykład może posłużyć historia rodziny Plichalów — właścicieli fabryki dziewiarskiej. Ich synek zachorował. Ojciec wezwał do niego lekarza Niemca. Matka przed przyjściem lekarza zaczęła uczyć dziecko, jak ma powiedzieć po niemiecku, co mu dolega. Kiedy lekarz spytał o to chłopca — ten chwile namyślał się, po czym spojrzał na matkę z rozpaczą i powiedział: „Mamo, ja zapomniałem”.

„Niemiecy Polacy” byli podczas wojny w szczególnej sytuacji. Mieli do wyboru: przyjąć volkslistę i opowiadając się po stronie prześladowców zapewnić sobie wygodne życie lub zostać Polakiem i cierpieć wraz z narodem polskim. Musieli odpowiedzieć na pytanie: prześladować czy być prześladowanym?

— Kiedyś w czasie okupacji grałem w karty z przyjaciółmi — opowiada Zygmunt Krauze. — Byli nimi Oskar Bischoff i Edgar Müller. Nagle drzwi otworzyły się wszedł trzeci kolega — Staś Minkiewicz. Przywitał nas słowami: „Jak się macie Szwabcy?” W jakiś czas później te „Szwabcy” dostały się do obozu koncentracyjnego. Oskar Bischoff zginął w Oświęcimiu, Edgarowi Müllerowi udało się przeżyć. Staś Minkiewicz przyjął volkslistę.

— Moja babcia była Niemką — wtrąca obecny przy rozmowie Jerzy Libich. — W czasie wojny zaproponowano mi przyjęcie volkslisty. Nie mogłem się na to zgodzić, ale jednocześnie zdawałem sobie sprawę, że uparte trwanie przy polskości może oznaczać śmierć. Wykorzystując fakt, że mąż babci zmarł 5 lat przed urodzeniem mojego ojca, powiedziałem, że nie mogę przyjąć volkslisty gdyż... mój dziadek był Żydem. Ponieważ nie było dowodów potwierdzających moje rzekome „żydostwo” mogłem czuć się bezpieczny będąc jednocześnie w zgodzie z sumieniem.

Część Polaków niemieckiego pochodzenia przyjęła volkslistę, aby ratować swoje życie i po raz drugi już jako volksdeutsche dokonała wyboru: jedni stali się zagorzałymi hitlerowcami, inni uratowali siebie, zaczęli pomagać polskiemu ruchowi oporu. Na czele takiej grupy volksdeutscheów stał Harry Draube — odznaczony przez AK Krzyżem Walecznych. Harry Draube organizował pomoc dla partyzantów dostarczał im lekarstw z apteki prowadzonej przez panią Geyerową. Nie można zapomnieć o ludziach noszących nazwiska: Lorenz (organizator tajnego nauczania), Keiserbrecht, Hoffrichter, Heinzl, Grohman.

— Przed wojną nie dzieliliśmy się na Niemców, Polaków i Żydów — mówi Zygmunt Krauze. — Jako dzieci chodziliśmy do tej samej szkoły, bawiliśmy się na tym samym podwórku. To, jakim kto ma pochodzenie, nie miało znaczenia. Ważne, jakim kto był CZŁOWIEKIEM! Dziś jest inaczej. Coraz częściej zdarzają się przypadki zagładania ludziom w metryki. Wraz z demokracją pojawiła się nietolerancja religijna i światopoglądowa, rasizm, fanatyzm, prześladowanie za jakąkolwiek „inność”.

MAGDALENA GROCHOWALSKA

W kwietniu (12.04.) minęło 10 lat od śmierci red. Henryka Rudnickiego. Chcąc ograniczyć się do przypomnienia, niewielkiego, ale jakże cennego dla łódzkich dzieci (i nie tylko łódzkich) okresu jego współpracy i redaktorstwa w „Małym Kurierze”. W latach trzydziestych (1930—1939) był to samodzielny, sobotni dodatek do „Kuriera Łódzkiego”. Wydawany był przez Władysława Stypulkowskiego, a pod koniec jego brata Jana.

Henryk Rudnicki pracując w „Kurierze Łódzkim” (od 1929 roku) równocześnie przejął, po ustąpieniu Ryszarda Manugiewicza, także redagowanie „Małego Kuriera” (1932 r.). W „Małym Kurierze” pisywał od chwili jego powstania. To najtańsze piśmiennictwo dla dzieci stało się jego „ulubioną pracą”.

Pochwała „Małego Kuriera”

H. Rudnicki pisywał dużo, wiersze, opowiadania, odcinki powieściowe, teksty do historyjek obrazkowych; wykorzystywał swe zdolności techniczne w dziale dla majsterkowiczów, korespondował z młodymi czytelnikami, umieszczał niekiedy wiersze pisane przez dzieci.

„Mały Kurier” odnotowywał ważniejsze wydarzenia z kraju i ze świata. Wiele miejsca poświęcał przeszłości historycznej, literackiej. Prowadził interesującą rubrykę: „Wielcy ludzie, ich czyny i dzieła” zapoznając dzieci i z Michałem Faradayem, i Mahatmą Gandhim, i innymi wielkimi tego świata. Redakcja organizowała rozmaite konkursy. Nagrody były wartościowe i pożyteczne. Do „Konkursu spostrzegawczości” stanęło ponad 6,5 tys. dzieci. „Konkurs wakacyjny” umożliwiał dzieciom udział w wycieczce do Gdyni — zobowiązywał do pisania dzienniczka, opisanie wrażeń. W rubryce „Rzecz ciekawa” dzieci znalazły wiadomości o kolibrach, mrówkach, historię zapalki, ziarnka kawy i wiele innych ciekawostek. Był urozmaicony dział rozrywkowy — żarty, zagadki, krzyżówki, szarady, rebusy, zabawy dla dzieci. W dążeniu do ulepszenia pisma wprowadzono, drogą ankiety przeprowadzonej wśród czytelników, dział sportowy. Dział ilustracyjny dostosowany do treści piśmienniczej podnosił jego atrakcyjność.

„Mały Kurier” miał czytelników nie tylko w Łodzi i okolicy (Brzeziny, Konstantynów, Ozorków, Pabianice, Zgierz), lecz także w innych miejscowościach m. in. w Kaliszu, Częstochowie, Włocławku, Białymstoku, Brześciu Kujawskim, Drohobyczu. Miał odbiorców również w ośrodkach wiejskich woj. warszawskiego, lubelskiego, kieleckiego.

WIESŁAWA KASZUBINA

UWAGA!

UWAGA!

POSIADACZE TABORU
SAMOCHODOWEGO!

FABRYKA OSPRZĘTU SAMOCHODOWEGO
„P O L M O”

w Łodzi, ul. Przybyszewskiego 99

PRZYJMUJE DO REGENERACJI

▲ SPRĘŻARKI ▲

z samochodów ciężarowych produkcji polskiej
i ciągników rolniczych produkcji polskiej
i czeskosłowackiej — „ZETOR” i „MARTIN”.

Odbiór sprzętek natychmiastowy. Gwarancja:
6 miesięcy. Forma zapłaty do uzgodnienia.

Istnieje również możliwość zakupienia regenero-
wanych sprzętek bez konieczności zwrotu zuży-
tych.

Informacji udziela Dział Zbytu, w godzinach:
6.45—14.45. Tel. 74-76-68.



BIURO TURYSTYKI ZAGRANICZNEJ I KRAJOWEJ

GLOB-TRANS

90-422 Łódź, ul. Piotrkowska 65,
tel. 32-89-29

▲ CIĄGŁE IMPREZY ▲

- ◀ autokarowe i autokarowo-samolotowe do
TURCJI i SYRII
- ◀ Atrakcyjne wyjazdy do WŁOCH, GRECJI,
AUSTRII, JUGOSŁAWII, USA, KANADY,
KUBY, MEKSYKU
- ◀ Na życzenie klienta imprezy specjalistyczne
i przewozy WE WSZYSTKIE STRONY
ŚWIATA.

U NAS NAPRAWDĘ NAJTANIEJ!

PRZEDSIĘBIORSTWO
PRODUKCYJNO-HANDLOWO-USŁUGOWE
„DOMATOR”

Spółka z o.o.
Łódź, ul. Wodna 4/6

SKLEP FIRMOWY SPÓŁKI „DOMATOR”

Z A P R A S Z A

Łódź, ul. Wodna 4/6, telefon 74-11-71

- telewizory produkcji zachodniej
- magnetowidy, odtwarzacze wideo, wieże stereo.
- Gwarancja — serwis pogwarancyjny.

SPRZEDAŻ HURTOWA — RACHUNKI

Zapraszamy w godz. 10—18.

Interfashion' 90

Jarmark w środku Łodzi

W średniowieczu uzyskać prawo do urządzania jarmarku — to był dopiero interes. Zabiegali o to miejscy rajcowie i cieszyli się, gdy takie prawo uzyskali. Średniowiecze dawno minęło, ale wiele miast marzy o tym, aby urządzać u siebie nowoczesne targi, bo dziś to też dobry interes. A dziś każdy o tym marzy. Miasto Łódź też.

Idea organizowania targów tekstylnych w Łodzi narodziła się dość dawno, ale mogła się spełnić dopiero przed 4 laty. Trzykrotnie łódzkie targi były filią Międzynarodowych Targów Poznańskich. Teraz zorganizowała je spółka, do której weszły centrale handlu zagranicznego, wielki producent z przemysłu włókienniczego oraz władze Łodzi. Spółka powstała w styczniu 1990 roku i można byłoby ją usprawiedliwić, że miała mało czasu na przygotowanie tak przecież wielkiej imprezy handlowej i dlatego zamiast targów wyszedł zwykły jarmark. Tak to przynajmniej niektórzy ocenili.

Jaką widzę różnicę między targami a jarmarkiem? Otóż targi są nowoczesną, dobrze zorganizowaną imprezą handlową, a jarmark — to impreza na wskroś prowincjonalna, bałaganiarska, bez dobrej organizacji. „Interfashion '90” taką właśnie imprezę trochę przypomina.

A teraz chciałabym uzasadnić, dlaczego tak uważam.

Opinii negatywnych było dużo. Ktoś powiedział, że przyzwoity dom towarowy na Zachodzie ma lepszą ekspozycję towarów niż pokazano to w Łodzi. Organizatorzy łódzkich targów chcieli jak najwięcej zarobić i dlatego upchali na targowej powierzchni tyle firm, ile tylko się dało. A przez to znalazły się na targach takie firmy, które nie miały najmniejszego wyobrażenia o eksponowaniu i reklamowaniu swoich towarów. Dyrektor „Novity” z Zielonej Góry — producent wykładziny podłogowej — powiedział mi, że siedząc przy telefonie w swojej fabryce osiągnąłby więcej kontraktów niż uzyskał ich w Łodzi. W tym czasie w Poznaniu byli kontrahenci zagraniczni, którzy mogliby zawrzeć intratne umowy, ale nie było ich w Łodzi.

A więc sprawa terminu. Czy łódzkie targi mają być w tym samym czasie, co impreza w Poznaniu? Do tej pory tak było, ale handlowcy narzekają, że to zły pomysł. W 1991 roku terminu targów nie da się jeszcze zmienić, ale w 1992 roku już można. Proponuję się, aby był to termin wiosenny lub jesienny, albo dwukrotna impreza w tych właśnie terminach. Co wybiorą organizatorzy? Zobaczymy.

Targi są elementem inspirującym rozwój miasta — miastotwórczym. Łódź taka inspiracja potrzebna. Dlatego trzeba pozyskiwać zwolenników targów w Łodzi, a nie zrażać ich do tej imprezy. Jak do tej pory często robi się odwrotnie. Przedstawiciel Zakładów Tkanin Dekoracyjnych „Welur” z Kietrza prosił, abym napisała, że Łódź powinna była przygotować wiele atrakcyjnych imprez kulturalnych na okres targów, ale tego nie zrobiła. Odwołano Koncert Galowy „Interfashion” w Teatrze Wielkim. Posiadacze biletów na koncert mogli pójść w zamian na „Spotkanie z balladą”. Jemu — memu rozmówcy — żona dała pieniądze i prosiła, aby trochę zainwestował wielkomiejskiej kultury, a potem jej opowiedział. Ale w Teatrze Wielkim były same próby. Tak targów — skarżył się mój rozmówca — nie powinno się organizować. Żeby pić wódkę ze znajomymi handlowcami lub dyrektorami, nie trzeba wcale przyjeżdżać do Łodzi.

Skarżono się na łódzkie hotele, restauracje, na fakt, że handlowa impreza, która ma pobudzać miasto, przeszła bez większego zainteresowania w mieście. Przedstawiciele firm, które ulokowano w hali ŁKS skarżyli się na brak wewnętrznej komunikacji targowej. Ich zdaniem sprzed Hali Sportowej powinien stać odchodzić autobus pod halę ŁKS. W targowym katalogu też nie było informacji o ekspozycji w hali ŁKS. Zaproszono ich na imprezę i zaraz o nich zapomniano. Tak się nie postępuje, bo w przyszłości nie będą zainteresowani udziałem w łódzkich targach.

Co zatem dalej z „Interfashion” w Łodzi?

Przed wszystkim imprezę tę trzeba utrzymać. Nie wolno obrazić się za krytykę. Trzeba wszelkie informacje o niedociągnięciach skrupulatnie zebrać, przeanalizować i wyciągnąć wnioski. To znaczy żeby się takie niedociągnięcia nie powtórzyły. Trzeba łódzkie targi doskonalić.

Powstał ponoć pomysł, aby w przyszłości zlokalizować targi na obrzeżach miasta. Moim zdaniem pomysł zbyt ryzykowny. Nie posiadamy tak doskonałej organizacji, ani tak atrakcyjnej oferty, aby ludzie ulokowani na skraju miasta mogli nie umrzeć z nudy. Uważam, że raczej powinny pozostać tu, gdzie są, natomiast trzeba raczej kierować się zasadą, że lepiej lokować mniej wystawców, ale atrakcyjniejszych, bogatszych, dysponujących ciekawymi ofertami handlowymi. I żeby taka impreza handlowa była przeznaczona nie tylko dla handlowców, ale mogła też wzbudzić zainteresowanie mieszkańców Łodzi. Tego się nie osiągnie przez ulokowanie w takich, uboższych kioskach wokół hal wystawowych. Na jarmarku to ujdzie na targach — nie wypada.

BOGDA MADEJ

Znajoma kierowniczka sklepu spożywczego na Zgierskiej (przed rokiem jeszcze taka znajomość to było to!), kiedy dziś rano kupuje jak zwykle litr mleka, pół chleba i dwie bułeczki, nachyla się ku mnie i konspiracyjnie szepcze:

— Pani Anno-Mario, są galaretki! Pomarańczowe, wiśniowe, nawet malinowe.

Gdyby mieć pod ręką wehikul czasu i cofnąć się w nim zaledwie o rok, moja odpowiedź w sprawie galaretek byłaby pozytywna.

W tych teraźniejszych zmieszana galaretkową propozycją przestępuję z nogi na nogę. Milczę. Rozważam bowiem problem niebywały dla aktualnego stanu mojej kieszeni: Zaszaleć? Kupić aż całą jedną? I upiec synowi w nagrodę za cenzurę z czerwonym paskiem torcik truskawkowy przybrany galaretką?

W zeszłym roku taki był. Potem wyjazd na wakacje. Jeździliśmy z synem od lat w jedno miejsce na Mazurach. Mamy tam swoje jezioro z zatoczką polyskującą bielą nemufarów, gdzie biorą głupie wzdrepi o złotej łusce i czerwonych pletwach. Swoją las nad zatoczką, w którym każde drzewo, leśna dróżka dobrze znajome, i wie się, że w tamtych gęstych osikach rosną czerwone kozaki, jedyne na świecie, niepowtarzalne i w ilościach, i w urodzie swoich czerwonych kapeluszy. Przez cały rok tęsknimy za jeziorem, zatoczką, lasem. Syn i w tym roku już od Wielkanocy skreślał dni w kalendarzu: „jeszcze aż sto... Jeszcze aż pięćdziesiąt... Już tylko, mamo, dwadzieścia!”.

Jedno danie Anny-Marii

Torcik truskawkowy, czyli rachunek jest prosty

Na dwadzieścia dni przed końcem roku szkolnego wiedziałam, że w tym roku żadnej zatoczki, żadnego lasu. „Pani Anno-Mario — napisała gospodyni — taniej niż dziesięć tysięcy od łóżka nie mogę. Wszyscy i tak będą liczyć po piętnaście...”.

Rachunek jest prosty: sześćset tysięcy miesięcznie za samą kwaterę. A podróz? Nawet szkoda obliczać, nawet gdybyśmy żyli powietrzem mazurskim, złotymi wzdrepiami, kozakami i korzonkami leśnymi, też nie starczy. A przecież rząd właśnie się biedzi nad kolejną podwyżką czynszu i nie tylko. Pan Leszek Balcerowicz zapowiada na lipiec drastyczne podwyżki paliw i energii, czyli wszystkiego, zakładając jednocześnie dalszy spadek płac realnych o dalsze dwadzieścia procent. W styczniu, co prawda, zaklinał się, że ta styczniowa operacja jest tak bolesna po to, aby więcej nie bolało. Raz, za jednym zamachem, radykalne cięcie i pomalutku, ale systematycznie zdrowiejemy. A potem — ho, ho: istny raj, drodzy Polacy. Wystarczyło jednak pół roku i pan Leszek Balcerowicz zapadł na amnezję.

Już i tak przez pięć pierwszych miesięcy 1990 roku obżeraliśmy się — w porównaniu z rokiem ubiegłym — o całe trzydzieści procent mniej. Wyrażając poparcie dla nowych podwyżek rządowych powinniśmy zmniejszyć spożycie o przynajmniej kolejne trzydzieści procent. Możliwości są. Kto na przykład powiedział, że dzieci muszą jeść mięso, owoce i słodycze? Kiedyś ich tym nie karmiono i żyły. Powołując się na źródła można powyższą tezę poprzeć nieodpartymi dowodami historycznymi. Choćby u takich Potockich dzieci nieodmiennie dostawały kaszę lub kluski, a przecież Potockich było stać na mięso! Nieomal do końca zeszłego stulecia uważano, że owoce i słodycze są zgubne w skutkach dla zdrowia małych dzieci. Skreślając z jadłospisów naszych dzieci mięsa, owoce, słodycze i warzywa wydatnie obniżymy ciągle zbyt duży wskaźnik krajowego spożycia. Ale to tylko jedna z wielu możliwości. Jeżeli chodzi o dorosłych, należy ujmować temat szkodliwości jedzenia patriotycznie, potępiając obżarstwo jako wadę narodową, która przyczyniła się nawet do rozbiorów Polski i była potępiana (ta wada, czyli obżarstwo) przez wielu wybitnych publicystów, nawet posłużyła za przysłowie: „Za króla Sasa, jedz, pij i popuszczaj pasa”. No, a co po Sasach nastąpiło?

Jedna z moich przyjaciółek, polonistka, wydaje obecnie na „życie” około siedemdziesięciu procent swoich miesięcznych zarobków w szkole. I jeszcze opowiada, że nie zawsze ma na zapłcenie świadczeń. Gdyby nie korepetycje, musiałaby przed każdym pierwszym pożyczka. Nie chodzi ani do kina, ani do teatru, ani na koncerty, wyrzeka się kupowania książek, raz na tydzień funduje gazetę z programem telewizyjnym, i jako szaleństwo intelektualne — też raz na tydzień „Politykę”. Kiedyś rokrocznie wyjeżdżała ze swoim dzieckiem, leczonym stale u pulmonologa, na dwa miesiące nad morze; w tym roku, owszem — pojedzie aż... pod Stryków i aż na cztery tygodnie.

— Rachunek jest prosty, Anno-Mario — mówi — Bo w lipcu i sierpniu ani korepetycji, ani za wychowawstwo, ani za zeszyty, tylko goła pensja.

Łódź, trzeba to przyznać, wyjątkowo ma pod wieloma względami. Największe bezrobocie — w Łodzi. Jeden z najniższych wskaźników płac realnych — w Łodzi. Za to umiarkowanie niemowląt najwyższe — w Łodzi. I pierwsze miejsce, jeśli chodzi o liczbę poronień i dzieci rodzonych z niedowagą — też w Łodzi. Miasto chore ekologicznie, z dziećmi chorymi od urodzenia — a teraz z chorymi od trujących niepokojem o przyszłość myślami ich matek.

Więc stoję w sklepie spożywczym, myśląc, że ani wakacji w tym

roku swemu synowi nie, ani prezentu też nie, to może chociaż torcik truskawkowy zalewany malinową galaretką?

— Proszę o jedną Malinową — mówię.

Na twarzy kierowniczki sklepu wykwita uśmiech.

— A już sądziłam, Anno-Mario, że pani powie mi to, co dopiero powiedziały dwie poprzednie klientki: zamiast galaretki wolę kupić dzieciakowi kilogram truskawek.

ANNA-MARIA

DZIENNIKARSKA SPÓŁDZIELNIA PRACY

„ODGŁOSY”

P R O P O N U J E:

- organizację na zlecenie konferencji prasowych,
- opracowanie i wydawanie folderów, druków reklamowych w języku polskim i w językach obcych,
- akwizycję ogłoszeń na zlecenie innych redakcji i publikację ogłoszeń w różnych pismach według życzeń zleceńodawców,
- usługi plastyczne, fotograficzne i poligraficzne.

NASZ ADRES:

ŁÓDŹ, ul. HENRYKA SIENKIEWICZA 3/5,
piętro XIII, telefon: 36-52-44.

U W A G A!

UŻYTKOWNICY SAMOCHODÓW!

FABRYKA OSPRZĘTU SAMOCHODOWEGO

„POLMO”

w Łodzi, ul. Przybyszewskiego 99

P O L E C A:

- gaźniki
- pompy paliwa
- sprzętarki nowe i regenerowane do wszystkich pojazdów produkowanych w Polsce
- części zamienne do tych pojazdów.

KUPIĆ JE MOŻNA W SKLEPIE FABRYCZNYM

Łódź, ul. Kurczaki 130, tel. 81-36-60, wew. 50.

▲ Z Ł O T O ▲

- skup złomu i wyrobów gotowych
- zamieniamy złom na wyroby gotowe
- oferujemy obrączki, pierścionki, łańcuszki

Łódź, ul. Składowa 11
(Koło Dworca Fabrycznego).


Papier-service

SKŁAD PAPIERU · USŁUGI POLIGRAFICZNE

WOJCIECH GROCHOWALSKI

90 417 Łódź ul. Piotrkowska 47 ☎ 87.17.04

Dosć często mają miejsce rzeczy osobliwe i śmieszne, w które niemal nie można uwierzyć. Chcę teraz opowiedzieć o takim zdarzeniu. To nie będzie utuda; sprawy rzeczywistości wyglądały tak, a nie inaczej. Możecie mi spokojnie zaufać, gdyż byłem świadkiem i widziałem na własne oczy i słyszałem na własne uszy.

Pewna dziewczica założyła piękny ogród zielny. Kochała go ponad wszystko, chroniła i pielęgnowała od rana do nocy bacząc pilnie, aby się doń nie wdarł żaden szkodnik. Hodowanie wielu przypraw i ziół sprawiło jej wielką radość. Posadziła w ogrodzie dziewczica także krzak róży, tak wysoki, gesty i wybujały, że w jego cieniu mogło się skryć przed promieniami słońca dwunastu rycerzy. Wysokością przewyższał mężczyznę i spinała go obręcz. Właśnie pod tym krzakiem róży rosły najcenniejsze ziola i soczysta trawa posadzone i wysiane z taką ochotą przez dziewczicę, aby cieszyły wzrok. Z drogocennych ziół i róż sporządzała ponadto rozmaite esencje, którymi podtrzymywała swą urodę. Co dzień rano jeszcze przed wschodem słońca miła ślicznotka szła nagusienka ze swej sypialni do zielonego ogródka i skrapiała się pod krzewem różaną esencją.

Pewnego razu wśliznąłem się potajemnie, aby skraść parę róż. Niestety, bez powodzenia, bo kiedy wyjrzałem przez szczelinę w gałęziach, odkryłem, że ktoś jest w ogrodzie. Chętnie opowiem, com widział i słyszał w ogródku zielnym, jeśli miła młoda panna nie będzie mieć nic przeciwko temu. Było to rzeczywiście godne uwagi! Czy mam opowiadać? Czy raczej wolicie, abym milczał? Skoro życzyacie sobie, żebym powściągnął język, życzenie wasze jest dla mnie rozkazem, ponieważ trzeba bezwzględnie słuchać przykazań szlachetnych niewiast. Wasze przyzwolenie byłoby dla mnie naprawdę bardzo miłe; bardzo bym nie chciał narazić się na podejrzenie, że zbyt blagują podając do wiadomości w gruncie rzeczy li tylko błahostki. Wierzcie mi, opowiedziałbym wam to nader chętnie, ponieważ rubaszne a u-

cleszne przygody trzeba po prostu zanieść pośród ludzi.

Najpierw jeszcze to: powszechnie przecież wiadomo, że pewne ziola mają czarodziejskie właściwości. Istnieją takie, które niememu przywracają dar mowy, skoro je wsunie między wargi. Ten osobliwy skutek poznała także dziewczica udając się, jak zwykle, ze swej sypialni do ogródka zielnego, aby skropić się różaną esencją. Przysiadła pod krzakiem i wtedy, dzięki cudownemu działaniu pewnego zioła, jej srom zaczął nagle mówić:

Staroniemiecki Dekameron.

Krzak róży

„Chociaż nade wszystko dbacie o swe ciało, ja wszakże jestem haniebnie opuszczony! Wcale się o mnie nie troszczycie, nie robicie dla mnie nic dobrego”.

Panna spojrziała zdziwiona w dół i rzekła do zachowującej się bezczelnie wiadomej rzeczy: „Przecież nigdy dotąd nie słyszałam twego głosu. Jak to się stało, że nagle potrafisz mówić?”.

„Tego daru użytyło mi zioło, które wcisnęło się między me wargi”, odparł srom, „aby wreszcie powiedzieć wszystko, co mnie oburza. Szkoda, że chociaż uprawiacie prawdziwy kult własnego ciała, mnie nie przynosi to najmniejszej korzyści. W rzeczywistości bowiem wszyscy kręcą się wokół was tylko ze względu na mnie. Gdybyście mnie nie posiadały, długo byście sobie mogły czekać na wielbicieli”.

„Cóż to za bzdura!” powiedziała szyderczo panna. „Mam uważać, że jestem uwielbiana tylko ze względu na ciebie? Przecież każdy mężczyzna zapewnia, że stanowią prawdziwą rozkosz dla oczu i ze względu na moją piękność chętnie od da mi serce i myśli. A ty roisz sobie, jakoby działo się tak tylko i wyłącznie z twojego powodu! Gdyby cię ktoś ujrział, brzydzono by się tobą, jestem o tym przekonana. Jesteś przecież ledwie brązową, rozochraną istotą, która tam w dole ucepila się mojego

ciała. Chyba umarłabym ze wstydu, gdyby cię ktoś na mnie zobaczył. Czymże ty w końcu jesteś, aby się do mnie umizgano z twojego powodu?”.

Wierzcie sobie lub nie, lecz wstydliva rzecz zjeżyła z oburzenia kędzierzawe włosy i rzekła do swojej pani: „Zaiste, to wy przyciągacie spojrzenia mężczyzn, gdyż naprawdę wielka z was piękność. Ale i ja mogę się pokazać mimo brązowej barwy, zupełnie nieźle do mnie pasuje. Ostatecznie każdy ma niepowtarzalny wygląd i jeśli jest odpowiedni, nie na-

brak między nogami ważnej części jej kobiecości. Wytykano ją palcami, wołając: „Patrzcie no, tam idzie ta bezsromu”. Gdy spotykała mężczyzn, spoglądali w bok zachowując się tak, jakby panna była powietrzem. Ponieważ wszędzie odnoszono się do niej z obraźliwą pogardą, całkiem się załamała i w straszliwej rozpacz pragnęła śmierci.

Musicie się jednak dowiedzieć, co tymczasem spotkało srom. Gdzie tylko się pokazał, brano go za ropuchę i źle się z nim obchodzono. Ilekroć próbował sięgnąć na siebie wzrok mężczyzny licząc na życiwe przyjęcie, spotykał go zawód, gdyż destawał tęgiego kopniaka. Wtedy, pełen wątplenia, rzekł sobie wreszcie: „Cóż za nieszczęście! Jak mogłem być tak głupi, że rozłączyłem się ze swoją panią. Przy niej powodziło mi się przecież daleko lepiej niż teraz. Miała rację. Bez niej w całym świecie wzbudzam zgrozę. Muszę się postarać, aby znowu żyć z nią w zgodzie”.

Także panna cierpiała — jak powiadają — pogardą mężczyzn i uznała: jakże bym jednak była szczęśliwa mając znowu tę rzecz!

Licząc na przypadek poszła wreszcie tam, gdzie się rozłączyły. I rzeczywiście, po łacie przypelzła już także jej rzecz. Jakże serdeczne było ich powitanie! Ujrawszy się ponownie, obie były nader szczęśliwe: użalały się wzajemnie na swe cierpienia i obraźliwą pogardą mężczyzn. Krótko mówiąc: piękność znowu wreszcie miała tę rzecz.

Wtedy też kazała mi do siebie przyjść i powiedziała:

„Daj mi radę, gdyż mam już dosyć niepowodzeń. Moja wstydliva rzecz odeszła ode mnie. Teraz mam ją wreszcie znowu, co jednak zrobić, aby się o tym zwiędzieli wszyscy mężczyźni. A poza tym poradź mi, co uczynić, żeby już się ode mnie nie odłączyła. Jesteś przecież mądrym i doświadczonym mężczyzną”.

Polecilem więc piękności, aby kazała tę rzecz mocno przygwoździć do swego brzucha, a gdy mnie poprosiła, czy nie mógłbym się o to postarać, zrobiłem to ku jej zadowoleniu: osadziłem tę rzecz na właściwym miejscu, a potem silnie przebiłem ją gwoździem, aby już nigdy nie mogła zmienić położenia.

Na zakończenie przyjacielska rada dla wszystkich zacnych mężów: kto posiada żonę, którą serdecznie kocha, powinien jej tę rzecz przygwoździć mocno do brzucha, aby nie próbowała się oddalić. Który tego nie robi, ten kiepsko dba o swoją miłość.

Utwór nieznanego autora, prawdopodobnie z XV stulecia. Zachował się w rękopisie tzw. Augsburgskim z roku 1447. Opracowany przez W. Spiewoka.

Przełożył:

KONRAD
FREJDLIICH

„DEMPSEY”

Sp. z o.o.

POLECA

U S Ł U G I

w zakresie:

- ochrona osób i mienia — konwoje, dozory, inkaso
- ochrona parkingów i osiedli
- poszukiwania osób, ustalanie miejsca pobytu
- poszukiwanie i zabezpieczanie dowodów dla postępowań sądowych
- wywiady środowiskowe
- pośrednictwo paszportowe

BIURO:

Lódź — ul. Zawiszy Czarnego 8/10

p. 131-133, tel. 57-76-40, 55-55-00 w. 128 (w godz. 10-15)

Tomaszów Mazowiecki

tel. 36-054

INFORMACJA:

Lódź — tel. 34-84-57 (czynny całą dobę)